Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Nr. 32 Niedziela, dnia 8 sierpnia 1937 r. Rok V

Pamiętasz, takie skwarne, świąteczne popołudnie
i szarą, zakurzoną, polną drogę —
Tak było jasno, słonecznie, przecudnie —
zapomnieć czaru dnia tego — nie mogę.

Gdzieś w górze ponad nami dzwoniły ptaków [głosy,
a wkoło zieleniały zbóż i traw dywany.
Całowałam oczyma twoje śliczne włosy,
i tak mi było dobrze przy tobie, kochany.

Do dziś mi w duszy pozostało pełno słońca,
a w sercu chowam cicho — minione godziny.
I rzucam pomost tęsknoty bez końca
przed drogie twoje oczy, mój miły, jedyny.

I pragnę tylko bardzo, gorąco, ogromnie,
by kiedyś podczas szarej, biurowej roboty —
Przypomniał ci się przeżyty koło mnie
ten dzień błękitny, zielony i złoty.

Mieczysława Piotrowska.



Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Feldern miał zupełną świadomość tego, że w gorliwości jego co do zapewnienia Hortensji spokoju i szczęścia, było też wiele egoizmu. Złączenie się jej z Leonem niszczyło bowiem wszystkie nadzieje asesora względem swej pupilki. Użył więc całej potęgi swej wymowy, aby nakłonić Hortensję do pozostania. Radził jej, aby najpierw napisała do swego męża, przytaczał jej tysiące argumentów, ale wszystko to odbiło się o stanowczość młodej kobiety. Okazała tyle energii i stanowczości, że aż wprawiła Felderna w zdziwienie. Z wzruszającą prostotą obstawała przy swoim zamiarze.

— On jest moim mężem i u jego boku jest moje miejsce w dobrej i złej chwili, w zaszczytach i hańbie — mówiła, a prosto z serca wychodzące jej słowa potrafiły rozbroić wykwintnego światowca.

Z pewnym zawstydzeniem musiał Feldern przyznać w duchu, że nie miał prawa wstrzymywać jej od świętego obowiązku odszukania swego męża. Przestał więc oponować.

— Niech pani idzie za głosem serca — rzekł poważnie asesor — ale proszę nie winić mnie o to, jeżeli krok ten wyjdzie pani, broń Boże! na złe. Jako zarządzający majątkiem pani, muszę jej jeszcze zwrócić uwagę na to, że testament ojca pani daje mi tylko prawo do wypłacania procentu, kapitał zaś nie śmie być naruszony aż do pełnoletności pani.

— Nie rozumiem pana, panie Feldern — zawołała Hortensja. — Czy sądzi pan, że mi tyle pieniędzy będzie potrzeba?

— Ona mnie nie rozumie — pomyślał Feldern zawstydzony. — Ufa swemu mężowi bezgranicznie. Daj Boże, aby ten nieszczęśliwy człowiek zaufania jej znów nie nadużył.

— Jedź więc pani z Bogiem, Hortensjo! — odpowiedział — wierny Luigi będzie się panią opiekował. Niech Pan Bóg użyczy pani szczęścia, którego pani tak gorąco pragnie. Jeżeli ma pani jeszcze jakie życzenie, to gotów jestem je spełnić.

— Zgadłeś pan, panie Feldern. Mam jeszcze jedno życzenie — odpowiedziała młoda kobieta nieśmiało. — Zdaje mi się, że się pan o coś na mnie gniewa. — Nie rozstawajmy się więc w gniewie, bo chciałabym i w oddaleniu mieć przeświadczenie szczerej i niezamąconej przyjaźni pańskiej.

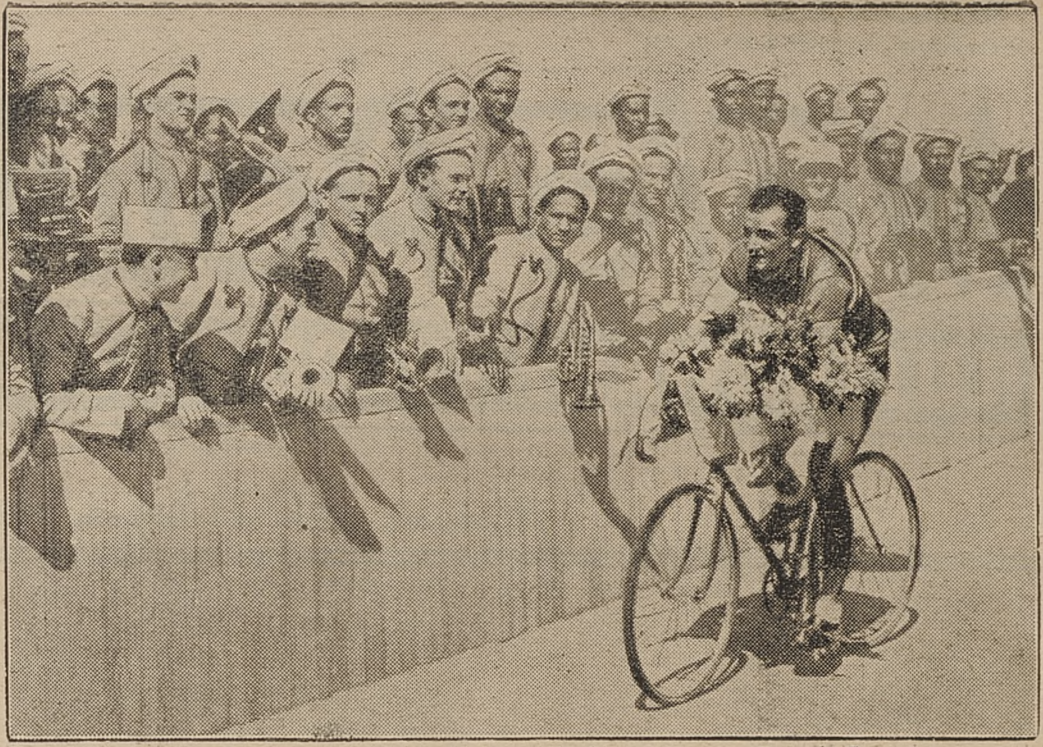
Spojrzała proszącym wzrokiem i wyciągnęła ku niemu rączkę.

Feldern pokonany schylił się i na znak zgody ucałował podaną sobie dłoń. Nadludzka czystość tej duszy stłumiła wszystkie mniej szlachetne porywy tego szlachetnego opiekuna.

Z rozpaczą w sercu opuścił asesor tajemnie kochaną kobietę, lecz gniewać się na nią nie umiał.

Uzyskawszy pozwolenie swego opiekuna, Hortensja przygotowała się do podróży, i wieczorem, tego samego dnia, w którym otrzymała wiadomości od baronowej, wyjechała do Tryestu, aby odszukać ukochanego męża, za którym tak gorąco tęskniła.

Miłość jej była miłością prawdziwą, niezmienną od przeciwności losu, ani nawet od wartości moralnej, ukochanej osoby.



Oto Lapébie, zwycięzca tegorocznego biegu kolarskiego, sławnego „Tour de France".

ROZDZIAŁ CLXII.

Zaszczytne odwiedziny

Rodzina Snob przybyła znów do Londynu i zakwaterowawszy się w swoim zbytkownie urządzonym domu w Kensington, w arystokratycznej dzielnicy metropoli, czekali z niecierpliwością, co im przyszłość przyniesie. Ale dotąd nie urzeczywistniły się jeszcze ambitne ich nadzieje.

Odwiedzili ich dawni przyjaciele i mała garstka krewnych, do których raczyli się przyznawać, ale z arystokratycznej rodziny Tulliwera i Wakera nikt się jeszcze nie pokazał.

Było to już wprawdzie dla państwa Snobów niemałym triumfem odbierać życzenia swych, tak zwanych dobrych przyjaciół z okazji zaślubin swych córek, mimo, że w gratulacjach tych nierzadko odczuć było można ukryty sarkazm; sprawiało im to niezawodnie ogromną radość, że mogli chwalić się arystokratycznym pochodzeniem obu zięciów Tulliwera i Wakera, jakoteż ich stosunkami towarzyskimi, ale bolało ich to, że dotychczas jeszcze nie byli zaproszeni do Sommersetshire-Hall, ani nie błyszczeli wśród dystyngowanego towarzystwa w Bogshovt-Castle!

Mieli stanowczo pecha! Tulliwer, który się tak cieszył zaprezentowaniem żony swej rodzinie, otrzymał w dzień przyjazdu do Londynu list, że w Sommersetshire-Hall wybuchła ospa i że matka jego i dwie siostry były niebezpiecznie chore.

Pisał mu to sam ojciec i zaklinał go, aby nie przyjeżdżał teraz, jeśli mu miłe życie młodej żony i jego własne. Tulliwer tak był zrozpaczony, że Inez zmuszona była pocieszać swego małżonka i tylko w duchu złorzeczyła temu wypadkowi.

Początkowo zdawało się, że pani Waker będzie triumfowała nad swą siostrą. Dzień odjazdu młodej pary do Bogshovt Castle był już ustanowiony. Fides dostała już wspaniały kostium podróżny, sprawiony umyślnie z okazji tej wizyty, gdy nadeszła hiobowa wieść, która zniweczyła ich plany podróżne.

Ojciec Bogshovt napisał sam synowej bardzo czuły liścik, który Fides pokazywała wszystkim swoim znajomym.

Wyrażał w nim swój żal, z powodu, że nie może teraz poznać drogiej żony swego ukochanego syna, ale jedyna córka jego Clelia zachorowała tak, że musi z nią natychmiast wyjechać na południe. W końcu wyraził nadzieję, że po powrocie swym spodziewa się długiej wizyty Wilfreda i ukochanej synowej.

Mimo serdecznych słów sama treść tego listu była dla Fides bardzo przykrą. Cóż z tego, że wyszła za arystokratę, kiedy nie mogła się stykać z dystyngowanymi krewnymi swego męża?

Obie siostry lamentowały i rozdrażniały się wzajemnie, że nadzieje ich co do wejścia w ekskluzywne, arystokratyczne kółko towarzyskie tak spełzły na niczym, gdyż i inni krewni Tulliwera i Wakera nie byli obecni w Londynie. Wszystko składało się fatalnie!

Inez i Fides zaczęły nareszcie robić mężom swoim wyrzuty i utrzymywały, że to wygląda tak, jak gdyby się żon swoich wstydzili.

Obie młode pary poróżniły się przez to, co oziębiło też stosunek między teściami a zięciami. Sprawa uregulowania kwestii posagowej ciągała się coraz bardziej, gdy nagle szczęśliwy przypadek sprowadził wszystko do najlepszego porządku.

Lord Sommerselshire oznajmił synowi, że przybywa na kilka dni do Londynu i chętnie by odwiedził swoich nowych krewnych, gdyby się oni nie obawiali zarazić.

Nadzieją takiego zaszczytu przejęła całą rodzinę Snobów nieopisaną radością. Naturalnie, że się zarazy zupełnie nie bali, tymbardziej, że, jak zapewniał Tulliwer, lord zamieszkiwał osobne skrzydło pałacu.

Pani Snob zaprosiła lorda, aby uczynił im ten zaszczyt i był u nich na obiedzie. Chciała zrobić wielką ucztę i zaprosić wszystkich swoich znajomych, aby im zaimponować dystyngowanym gościem, ale Tulliwer zniweczył jej plany wiadomością od ojca, który przyjął zaproszenie na obiad tylko pod tym warunkiem, że odbędzie się on w najściślejszym kółku rodzinnym. Chodzi mu bowiem tylko o poznanie synowej, jej rodziców i rodzeństwa.

Tak tedy musiała pani Snob i córki jej z ciężkim sercem zrzegnować z uczty, którą się tak cieszyli, bo nie mogli sprzeciwiać się prośbie lorda, i to tak pochlebnej dla nich prośbie.

Wszystkie trzy panie robiły już kilka dni przedtem przygotowania na ten obiad. Układały „menu" i zmieniały je niezliczoną ilość razy na lepsze. Zamówiły też na ten dzień najdroższego kucharza londyńskiego i skupywały najdroższe wina.

Służący ich dostał nową liberię, a takie same liberie sporządzono też dla dwóch lokajów najętych na czas pobytu lorda w Londynie. Pani Snob z córkami sprawiły sobie również drogie toalety. Dość, że przygotowania na ten skromny obiadek w kółku rodzinnym pochłonęły bajeczne sumy.

Wreszcie nadszedł ten wielki dzień. Pani Snob była już od samego rana w gorączkowym niepokoju, wzmożonym jeszcze licznymi radami córek, co do znalezienia się wobec tak dostojnej osoby jak lord i książę Sommersetshire.

Głowa jej tak była pełna tych różnych przestrog i przepisów, jakimi ją nakarmiły wykształcone jej córki, że obawiała się, aby właśnie z nadmiaru tych nauk nie zachorowała.

Chwila nadejścia lorda zbliżała się. Całą rodzina Snobów z Wakerem zgromadziła się już w salonie, oczekując dostojnego gościa; Tuliwer zaś wyjechał ojcu naprzeciw.

Inez była w jasnoróżowej, jedwabnej toalecie, w której wydała się sama sobie bardzo uroczą. Spoglądała wciąż ukradkiem w lustro, dla przekonania się, czy zrobi dobre wrażenie na swym dostojnym teściu i wypytywała się Wakera, jak lord wygląda i jakiego jest usposobienia.

Waker jednak odpowiadał wymijająco.

Twierdził, że widział ojca swego przyjaciela raz tylko i to jeszcze przed wielu laty, więc nie przypomina go sobie.

Inez paliła się z ciekawości.

Wtem lokaj otworzył drzwi na oścież i zawołał:



Anglia wzmacnia swoją flotę na Morzu Śródziemnym Na zdjęciu flotylla nowych łodzi pościgowych, służących do tępienia łodzi podwodnych. W drodze do Gibraltaru zatrzymała się flotylla w porcie Lizbony.

— Jaśnie wielmożny książę Sommersetshire i mister Tulliwer.

Po tym pompatycznym zameldowaniu wszedł Tulliwer w nadzwyczaj eleganckim, wizytowym ubraniu, w towarzystwie starszego pana, który zupełnie nie odpowiadał wyobrażeniu, jakie mieli Snobowie o wyglądzie tak wielkiego arystokraty.

Książę nie miał bowiem wcale imponującej postaci. Był mały i chudy, a frak wisiał na nim jak na tyce od chmielu. Twarz jego okolona była białym włosem i taką samą brodą, a mimo to nie robił poważnego wrażenia, bo miał rumiane, świeże policzki i żywe, błyszczące oczy.

Gdy przy stole zdjął swe rękawiczki, Inez spostrzegła ze zdziwieniem, że ręce jego nie były wcale pielęgnowane i nie miały arystokratycznej formy.

Wprawdzie Snobowie byli trochę rozczarowani, pocieszali się jednak myślą, iż książę mimo wszystko ma w sobie coś arystokratycznego i że jest dla nich nadzwyczaj uprzejmy.

Na głębokie dygi całej rodziny Snobów — odpowiedział kilku niezgrabnymi ukłonami, ściskał wszystkim ręce i pytał się o ich zdrowie i powodzenie.

Gdy Tulliwer przedstawił mu rumieniącą się Inez, powiedział na nią „darling" (pieszczotka) i pogłaskał po zwiędłych już nieco policzkach. Jej aż serce rosło z triumfu.

Przy stole dostojny gość siedział między panią Snob, a swoją synową. Syn jego siedział naprzeciw niego i ze wzruszającą czułością synowską wpatrywał się wciąż w swego papę, wsłuchiwał się w każde jego słowo i śledził każde jego spojrzenie.

W ciągu tego obiadu zrobiły Inez i Fides spostrzeżenie, że arystokracja nie zważa tak bardzo na przepisy etykiety, jak one obie dawniej myślały, a dowodem tego był sam książę Sommersetshire, który odrzucił wnet chłodną rezerwę i obracał się z najmilszą swobodą.

Panią Snob np. poklepał po ramieniu i powiedział jej, że jest doskonałą kobietą i że prowadzi znakomitą kuchnię i że dawno już nie jadł tak znakomitego obiadu, bo jego kucharz w Sommersetshire - Hall jest osłem, który zasługuje na szubienicę.

Synowę swoją ośmielał, aby dolewała swemu staremu papie, który popijał bardzo łaskawie szklankę za szklanką.

Panu Snobowi rzucał przez stoł nader miłe spojrzenia, które tegoż tak wzruszyły, że zapomniał nawet o jedzeniu i piciu. Patrzył tylko bez ustanku w dostojnego teścia jednej ze swych ukochanych córek i uśmiechał się zadowolony.

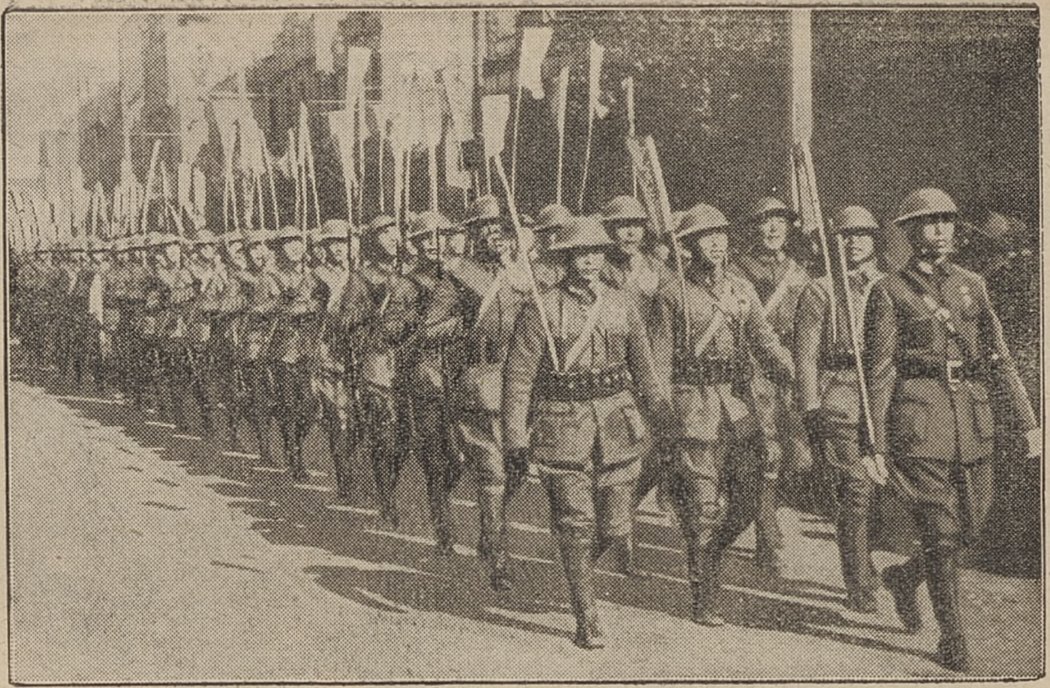
Dziwne jednak było, że książę miał nawyczki, które zresztą w lepszym towarzystwie nie uchodzą. Tak na przykład jadał i pił w bardzo głośny sposób, pogardzał często używaniem widelca i noża, a sos z talerzy wycierał chlebem tak dokładnie, że służący zabierał ze stołu prawie czysty talerz.

Pani Snob uszczęśliwiona była pochwałą księcia, którą też popierał czynem, bo jadł niemożliwie wiele, zapewniając przy każdym daniu, że to jest ulubioną potrawą. Po tych potrawach zaś popijał proporcjonalną dozę wina.

Podczas obiadu rozmawiano tylko o jadłach i napojach.

Gdy podawano deser, panie wstały od stołu, a panowie zostali jeszcze przy szklance wina. Książę i papa Snob pili na wyścigi. Dostojnemu gościowi rozwiązał się dopiero język. Zaczął opowiadać historyjki o nie bardzo wybrednej treści i miejscami b. słone i dwuznaczne.

Tulliwer i Waker wyglądali jakby trochę zaniepokojeni dobrym humorem „księcia pana" i podczas, gdy pan Snob dawał służącemu jakieś dyspozycje, schylił się Tulliwer do ucha rzekomego ojca i szepnął mu groźnie:



Zdjęcie z terenu konfliktu zbrojnego na Dalekim Wschodzie. Wyborowe wojska chińskie z Nankinu w marszu na Pekin.

— Abyś mi się nie odważył pić więcej. Ani jednej szklanki do ust już nie weźmiesz, ty pijaku! Hamuj też swój przeklęty pysk.

Domniemany książę uważał te słowa widocznie za niewinny żart, bo nie okazał najmniejszej obrazy, a tylko uprzejmie zapytał:

— Czy chciałeś czego, mój synu?

— Nic ważnego, mój ojcze — odparł Tulliwer z uszanowaniem. — Chciałem się tylko dowiedzieć, czy mamy w naszych dobrach Sommersetshire-Hall takie same reńskie wina?

Na propozycję Tulliwera udali się panowie do salonu, aby być razem z damami i tam Tulliwer poprosił swoją żonę i szwagrową, aby się kolejno swoją grą popisały. Czynił to wyjątkowo, bo zresztą unikał ich muzyki, jak piekła.

Książę oświadczył, że jest wielkim miłośnikiem i znawcą muzyki i siadłszy w wygodnym fotelu, wsłuchiwał się w grę obu dam.

Tulliwer i Walker odśpiewali kilka duetów w niemożliwie fałszywy i niedźwięczny sposób, a skutek był ten, że książę pan usnął błogo i nawet zaczął po książęcemu chrapać.

Zbudził się dopiero, gdy ustały produkcje muzyczne i klaskając żywo orzekł, że dawno już nie słyszał tak ładnego koncertu.

Ku wielkiemu żalowi całej rodziny Snob, zbliżała się chwila odjazdu księcia, który przy pożegnaniu wziął od całej rodziny przyrzeczenie, że przyjadą na kilka tygodni do Sommersetshire-Hall, skoro tylko żona i córki wyzdrowieją.

Pożegnanie to było koroną wszystkiego i podczas gdy Tulliwer odprowadzał swego ojca do hotelu, Snobowie nie mogli się dość nachwalić serdeczności i uprzejmości księcia, który nie okazał im ani trochę dumy i wyniosłości i zbliżył się do nich jak równy do swych równych.

Po tej wizycie księcia Sommersetshire akcje obu mężów poszły znowu w górę. W radości swej zmiękł papa Snob i nie zwlekał dłużej z wypłaceniem posagu swych córek, tak Tulliwerowi, jakoteż Walkerowi.

Obie młode pary wyjechały następnie do pięknego Paryża.

Inez i Fidez uszczęśliwione były, że zrobiły tak dobre partie i że mężowie ich tak je ubóstwiają. Były one pełne najlepszych nadziei na przyszłość.

Papa i mama Snob zostali w Londynie, aby wypocząć po trudach i niepokojach ostatnich miesięcy.

ROZDZIAŁ CLXIII.

W wiecznej ciemności

Mimo nie bardzo starannej pielęgnacji przemogła silna natura Leona zdradliwą słabość prędzej, niż się lekarz tego spodziewał.

Gdy przyszedł do przytomności i rozejrzał się po swoich towarzyszach niedoli, odwrócił się od nich ze wstrętem, byli to bowiem sami pacjenci, którzy leczyli się bezpłatnie, to znaczy na koszt gminy. Były to szumowiny społeczeństwa, podupadłe, przewrotne indywidua.

O uszy jego odbijały się bezustannie grubiańskie wyrazy i przekleństwa, wstrętne przekomarzania się i obrażające szyderstwa. Wyjątkiem był jakiś przejezdny rzemieślnik, cichego i skromnego usposobienia. Nazywał się Ferdynand, ale przezywano go tu „Nante".

Sposób bycia tego Ferdynanda podobał się Leonowi i gdy on pewnego razu odezwał się do niego, odpowiedział mu Waldau bardzo uprzejmie i rozmawiał z nim dalej, mimo, że on go traktował per „ty".

Wreszcie wypuszczono Leona jako rekonwalescenta ze szpitala; równocześnie wyszedł i Nante i wspólna dola złączyła obu na czas jakiś.

Dla Leona zdwoiła się teraz nędza, bo tak był po chorobie osłabiony, że zależnym teraz będzie od miłosierdzia i dobroczynności bliźnich.

W tym samem położeniu był i Ferdynand, ale ten nie brał sobie położenia swego tak do serca.

— Przyjdą i lepsze czasy! — pocieszał on Leona — nie umrzemy z głodu. Mam wypróbowany sposób na wyłudzenie kilku groszy ludziom z kieszeni. Muzyka i teraz nie zawiedzie!

To mówiąc wyjął z kieszeni harmonijkę, z której wydobył kilka bardzo nieharmonijnych tonów, ale widocznie sam z nich był zadowolony.

I ja spróbuję — rzekł Leon, biorąc instrument do rąk.

Niegdyś w dzieciństwie jeszcze wygrywał sobie na harmonijce, a teraz należało przypomnieć dawne melodie i spróbować, czy nie uda mu się to lepiej niż Nantemu.

Wkrótce wygrał też zupełnie czysto jakąś piosenkę ludową; grał coraz lepiej, tony były coraz czystsze i pełniejsze, a pojedyńcze melodie łączył zręcznym przejściem i wreszcie skończył łagodnie przebrzmiewającym akordem.

Nante przysłuchiwał się popisowi Leona z otwartą gębą i był tak zachwycony, że przybliżywszy się do grającego, uścisnął go w dowód podziwu.

— Jesteś mistrzem — krzyknął rzemieślnik — nie posiadając się z radości. — To coś zupełnie innego niż moje rzępolenie i pewny jestem, że najstarszej i najskąpszej babie wydrzesz coś z pończochy.

Urządzimy się więc tak bracie, że ty będziesz śpiewał, a ja będę zbierał monetę. Będę lamentował, żeśmy obydwaj dopiero co wyszli ze szpitala, skrzywię się przy tym jak nieszczęście i uzbieram dość sporo grosiwa.

Spółka ta nie była bardzo w guście Leona, ale nie chciał Nantego odtrącać, raz dla tego, że mu przecież przyjemniej było mieć jakiegoś towarzysza, a powtóre, że bez harmonijki jego nie mógłby sobie teraz dać rady.

Już przed najbliższym domkiem chłopskim urządzili nasi wędrowcy swoje szopki.

Leon grał pieśni i tańce, a Nante chodził i opowiadał najżałośniejszym głosem smutną ich dolę, prosząc o zapomogę.

Sukces był nadspodziewanie wielki.

Chłopka patrzała z politowaniem na obu młodych, a już tak zbiedzonych i schorowanych chłopców, szczególnie na pięknego, ciemnookiego grajka, o smutnym wyrazie twarzy.

Zaprosiła ich do ciepłej izby, dała sutą przekąskę i nawet trochę prowiantu na drogę.

Nante uszczęśliwiony był tym sutym wynagrodzeniem, i winszował sobie w duchu takiego śpólnika. Będąc o wiele praktyczniejszym od Leona i znając lepiej gusta i zwyczaje ludności wiejskiej zajął się ułożeniem marszruty.

Gdy wieczorem przychodzili do jakiejś wsi, to Ferdynand wyszukiwał zawsze izby, w których dziewki przędły, a parobcy gromadzili się wokoło nich, śpiewając pieśni i opowiadając różne dziwy.

Tam przyjmowano zawsze radośnie naszych grajków. Leon musiał grać pieśń za pieśnią, a zgromadzeni przyśpiewywali. Zaś po skończonej robocie musiał Leon grać, a młodzież tańczyła ochoczo. Nante umiał wyzyskać

sytuację i zbierał w swój kapelusz mniejszą i większą monetę.

Nie mieli więc nędzy, gdyż gra Leona zapewniała im wszędzie nakryty stół i skromny nocleg. Ferdynand, który prowadził kasę, mówił, że wkrótce będą mogli kupić sobie kożuch barani.

Tymczasem Leon czuł powracające siły i z każdym dniem przychodził do zdrowia. Postanowił więc rozłączyć się ze swym towarzyszem i przyjmować najcięższą nawet pracę raczej, niż dalej prowadzić pół żebraninę.

W wędrówce swej przyszli w pobliże Adelsbergskiej groty i zeszli do skromnej oberży. Niezmużony Nante pobiegł do wsi, aby zrekognoskować pole i wrócił promieniejący szczęściem.

— Dobre nowiny bracie! — krzyknął do Leona już z daleka. — Będziemy mieli żniwa! Jest tu całe towarzystwo zwariowanych Anglików, którzy chcą jutro rano obejrzeć grotę.

Możemy wejść przed nimi do groty, ukryć się tam w ciemnym kącie, a gdy oni wejdą, zagrasz im jedną z ich pieśni narodowych. Będą wzruszeni i dadzą się naciągnąć na hojne datki!

Leonowi ten plan nie bardzo się podobał, ale Nante umiał go przegadać. Pobiegł raz jeszcze do wsi, aby się wywiedzić o której porze Anglicy mają być w grocie, dowiedział się tylko, że to będzie przed obiadem. Obiecywał sobie złote góry z tego powodu i zachęcał Leona, aby się postarał pięknie zagrać.

Obawa stracenia sposobności do zrobienia tak pięknego interesu, zagnała Ferdynanda nazajutrz dość wcześnie do groty Adalsbergskiej.

Jest to cudowne zjawisko natury. Składa się z pojedyńczych pieczar, zaś na samym dnie płynie strumyk, przez który prowadzą dwa stalagmitowe mostki. Strumyk wpada w bezdenną przepaść, a cała grota obfituje w cudne twory stalagtytowe. Wyszukali ciemny kąt i Leon musiał słuchać rozkazu swego despotycznego towarzysza.

Długi czas czekali na przybycie Anglików. Ferdynand kilka razy wylatywał i wracał, przeklinając, że ich nie widać.

Dopiero po kilku godzinach jakieś większe towarzystwo weszło do groty.

Wtedy Ferdynand trącił Leona na znak, że produkcja może się rozpocząć i w grocie zabrzmiał dźwięk angielskiego hymnu narodowego.

— Cudne! — zawołała jakaś, sentymentalna miss i wszyscy potakiwali żywo.

Niebawem pieśń się skończyła i przeszła w huczną melodię, bardzo w Anglii popularną.

Starsza angielka, mało muzykalna, poznała ją nareszcie.

— Ach, jak cudnie! — mówiła ogromnie rozrzewniona — gdzieżbym się spodziewała tych pieśni tu w dalekiej Asturii! Nigdy tego nie zapomnę.

Kiedy się zabierali do wyjścia z groty, Ferdynand wylazł z ukrycia i z kapeluszem w ręku zbliżył się do nich, prosząc o zapłatę dla biednego muzykanta.

Czy to pan grałeś przed chwilą? — zapytał zupełnie niespotrzeżenie Anglik, gdyż wiedział bardzo dobrze, że to nie on, bo Leon wciąż jeszcze przygrywał.

— Nie, to mój biedny brat — odpowiedział żałośnie Ferdynand.

— Dlaczego biedny? — podchwyciła skwapliwie sentymentalna miss, która wszędzie przypuszczała nieszczęśliwą miłość.

— Kulawy jest i ślepy! — kłamał Ferdynand, ocierając łzy.

Słowa jego wywołały całą burzę współczucia u wszystkich dam. Widoczną oznaką tej litości były złote i srebrne monety, które padały do kapelusza Ferdynanda.

Nigdy nie miał on tyle pieniędzy i złość go porywa na samą myśl o tym, że musi się dzielić z Leonem.

Namyślał się co zrobić.

Leon grał bez przerwy i widocznie nie zauważył co się stało.

Gdyby tak uciec! — pomyślał — i zostawić mu tę głupią harmonijkę?

— — — — — —

— — — — — —

Leon zapomniał o wszystkim i grał tak długo z myślą o żonie. Z marzeń obudziło go zimno. Wylazł z kąta, wołając za Ferdynandem, pomacku wyszedł z groty.

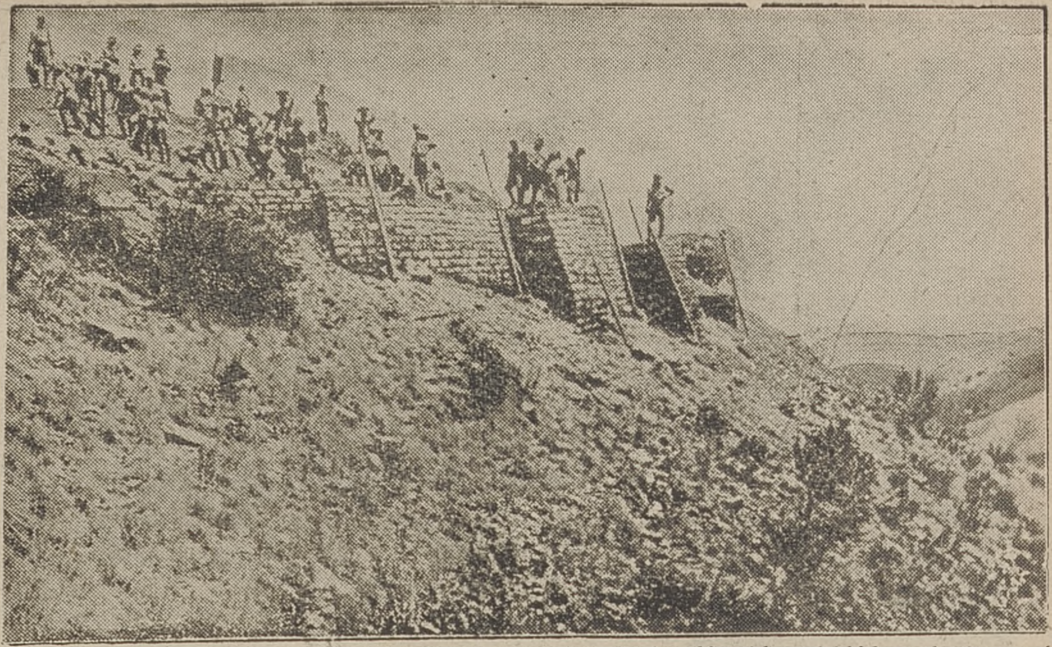
Rozglądnął się za towarzyszem, ale cała okolica okryta była bielutkim śniegiem, który iskrzył się w świetle słonecznym.

Oczy Leona nieprzygotowane na taki widok, zamknęły się przed tym rażącym blaskiem i zabolały go.

Gdy po chwili otworzył je znowu, krajobraz zimowy znikł, a Leona otaczał tylko jakiś nieokreślony matowy blask.

Straszliwe przeczucie wstrząsnęło nim do głębi. Zamknął szybko oczy na kilka sekund, które mu się wydały długie jak wieczność, a potem podniósł je ostrożnie, ale na to tylko, aby natychmiast bez przytomności paść na ziemię.

Kielich jego goryczy dopełnił się: Leon oślepł!



W Waziristanie (północno-zachodnie Indie) trwają jeszcze nadal walki wojsk angielskich ze zbuntowanymi szczepami górskimi, pozostającymi pod rozkazami fakira z Ipi. Na zdjęciu budowa umocnień obronnych przez oddział wojska angielskiego.

ROZDZIAŁ CIXIV

Perła wszystkich pokojówek

Anastazja z wyłudzonymi od baronowej pieniędzymi wróciła do Wiednia.

Wynajęła ładne, małe mieszkanko, sprawiła sobie elegancką i gustowną garderobę i zaczęła udawać wielką panią.

Wzięła sobie służącą, której dawała dużo roboty, jeszcze więcej łajania, a mało pieniędzy, jedzenia i wypoczynku.

Skutek był ten, że po tygodniu dziewczyna uciekła.

Druga cierpiała na melancholię. — Gdy pewnego razu Anastazja wyraziła podejrzenie, że ją okrada przy zakupach i powtórzyła kilka razy to podejrzenie takim głosikiem, że ją było słychać w całej kamienicy, atakowana popełniła zamach samobójczy.

Potem Anastazja miała kilka innych służących, z których żadna jednak nie była dłużej niż cztery dni.

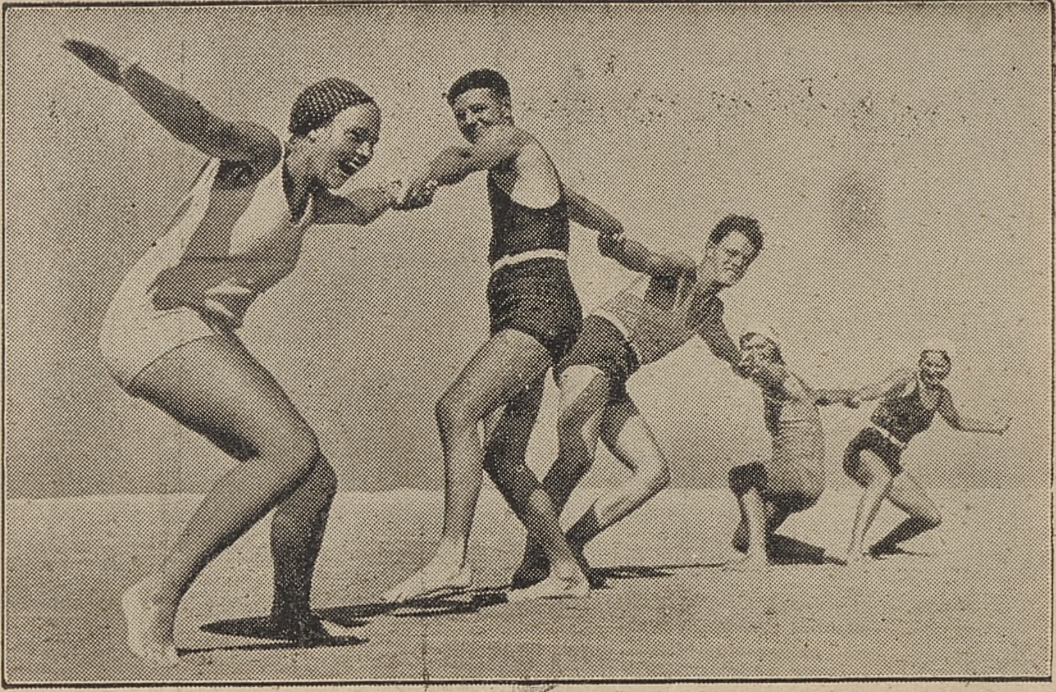
Byłaby tak, ku ogromnemu swemu zdziwieniu została bez służącej, gdyby nie przypadek, który jej pozwolił znaleźć perłę pokojówek, Marynię.

Nie była ona bardzo przystojna, gdyż miała rude włosy, piegi na twarzy, zezowate oczy i olbrzymich rozmiarów nosisko, ale to właśnie dawało rękojmię, że najlepsze potrawy, które przyrządzi, dostaną się jej pani, a nie kochankowi.

Świadectwa w książce służbowej miała bardzo dobre i była pokorna i płaszcząca się, co się Anastazji najbardziej podobało.

Sama ona przez cały czas swej służby płaszczyła się przed swoją panią, a teraz żądała tego samego od własnej służby.

Służąca zaraz pierwszego dnia potrafiła pozyskać sobie względy swej pani, opowiadając jej straszliwe plotki i oszczerstwa na przystojną sąsiadkę, która



Piękne zdjęcie z wywczasów letnich nad morzem. — „Popróbujmy swych sił"...

zawsze stanowiła przedmiot zazdrości Anastazji.

— Ale za to pani, to czysty anioł — schlebiała. — Do tamtej nie poszłabym, żeby mi dawała 30 zł dziennie.

I w ten sposób zyskiwała sobie coraz bardziej względy Anastazji. Pewnego razu, gdy Anastazja wybierając się do teatru, zapragnęła włożyć róże we włosy i zastanawiała się tylko, czy nie jest na to za stara, zapytała o radę swej służącej.

— Co? Za stara? — zawołała Marynia łamiąc ręce ze zdziwienia. — Panienka ma najwyżej 26 lub 27 lat. W tym wieku tylko nosić róże we włosach.

Panna Anastazja miała lat 39, a wyglądała na 49. Uwierzyła służącej na słowo, włożyła we włosy żółte róże, a służącej powiedziała, że może sobie, chociaż już było po kolacji, wziąć jeszcze kawałek mięsa.

— Ale gdzietam, proszę panienki — broniła się Marynia — tyle miałam na obiad, że zostawiłam sobie połowę na kolację.

— No, jak nie chcesz! — odpowiedziała Anastazja, a w duszy ogromnie się cieszyła.

W teatrze przez cały pierwszy akt obliczała sobie, jakie oszczędności może zaprowadzić za pomocą tej niewymagającej dziewczyny i co za te oszczędności będzie mogła sprawić.

O tym, żeby ktoś miał coś z jej dostatków, nie myślała nigdy.

Wprawdzie postarała się, żeby wszyscy jej krewni i znajomi dowiedzieli się o jej bogactwach, opowiadając, że wygrała na loterii, ale równocześnie postanowiła zerwać z biedniejszymi.

Wszędzie honorowano ją bardzo, proszono w kumy albo na zabawy.

Panie proponowały jej przyjaźń i „ty", a młodzi panowie nadskakiwali. Zaś ona szukała między nimi najzamożniejszego i najgodniejszego swej ręki.

Owego wieczora siedziała w teatrze w towarzystwie dwóch młodych panów.

Tymczasem w jej mieszkaniu rozgrywała się następująca scena:

Marynia sprzątała w pokoju, gdy ktoś silnie zapukał do drzwi.

Marynia wyszła.

Przed progiem stał wysoki, porządnie ubrany mężczyzna z pakunkiem w ręku.

— Czy to tu miałem przynieść pakunek od Grütznera i Bergera?

— Tak jest! — odpowiedziała Marynia — proszę wejść.

Mężczyzna wszedł i ostrożnie zamknął drzwi za sobą.

— Jest? — zapytał szeptem.

— Nie ma; poszła do teatru.

— Czyś już coś wypatrzyła?

— Ale gdzietam, przecież nie jestem czarownicą! Przez cały dzień nic robię nic — rzekła — tylko kłamię tej starej gęsi i zmyślam jedno po drugim, a głodnieję, że mi się żołądek kurczy. — Teraz dopiero sobie to wszystko wynagrodzę.

— Nie widzę czym? — odpowiedział przybysz niezadowolony — sambym także coś przetrącił!

— Poczekaj trochę! — odpowiedziała ruda — za chwilę będzie!

Z pękiem kluczy dobrała się do spiżarki i gdy nareszcie znalazła klucz, którym ją otworzyła, wybrała sobie z nagromadzonych tam przez łakomą Anastazję zapasów, wszystko, czego dusza zapragnęła.

Ukroiła sobie tęgi kawał gęsiny, pasztetu, kiełbasy, uważając żeby to wszystko zrobić tak zręcznie, by Anastazja się nie spostrzegła.

Józef zadowolony przypatrywał się tym przygotowaniom i dziwił się tylko i martwił tym, że nie było żadnego kapitaliku.

Z tymi słowy wyszła do piwnicy, gdy tymczasem Józef rozglądał się złodziejskim wzrokiem po mieszkaniu.

Wnet wróciła Marynia z dwiema flaszkami wina i przez pół godziny nic słychać nie było tylko żłopanie, żucie i cmoktanie.

Józef był bardzo kontent i chciał sobie jeszcze zapalić papierosa, na co naturalnie Marynia nie pozwoliła, gdyż Anastazja byłaby zaraz po powrocie poczuła dym.

Gdy wszystko zjedli, Anastazja posprzątała starannie, potem przysiadła znowu do gościa.

— Jutro będą goście, więc nic z tego! — rzekła — a pojutrze rano stój na rynku i czekaj na mnie!

— Jakto? Więc już?...

— A co? Pięćdziesiąt lat będę się dawała maltretować tej starej sowie? Im prędzej, tym lepiej!

— A myślisz, że się to opłaci? — zastanawiał się znowu Józef.

— Naturalnie! Ona musi mieć pieniądze, bo nie kłaniało by jej się tak wszystko, gdyby nie to!

Gdy Anastazja wróciła z teatru zastała służącą przy stole kuchennym, siedzącą nad modlitewnikiem.

Przy niej leżał śledź i chleb, który dostała na kolację.

— Nie jadłaś? — spytała Anastazja zdziwiona.

— Nie proszę pani — odpowiedziała Marynia skromnie — miałam jeszcze jarzynę z obiadu. Jeżeli panienka pozwoli, to sobie schowam na jutro na drugie śniadanie.

Anastazja poszła spać bardzo zadowolona i ucieszona, że ma tak niewymagającą służącą.

ROZDZIAŁ CLXV.

Teobald miesza karty

Teobald wszedł do kuchni, gdzie matka przeraźliwym głosem kłóciła się ze służącą o to, że rzeźnik dał dużo kości a mało mięsa.

Gdy oświadczył, że chce z nią mówić, ofuknęła go, że gospodarstwo jest pierwsze, że potem sam będzie narzekał, jak nie będzie obiadu na czas; posłała służącą do rzeźnika, aby oddała kości a wzięła mięso, aby kupiła mąki i t. d. i t. d. Nakazywała przytem surowo, żeby nic nie mówić o ucieczce Idy, i groziła, że za jedno słówko wypędzi ze służby.

Obie służące wysłane do miasta rozmawiały sobie w najlepsze na korytarzu, gdy Teobald zdyszanym, przyciszonym głosem szeptał matce:

— Markiz przyszedł i chce wiedzieć, w którym kościele Ida jest chrzczona. Mówi, że ona jest urodzona w roku 1868, a więc nie jest córką hrabiny Wildenstein. Co tu zrobić? Trzeba będzie chyba fałszować księgi kościelne.

— Głupi jesteś! — odpowiedziała matka — to się nam nie uda. Zresztą, to nie potrzebne. Powiemy, że w kościele św. Pankracego, który się spalił razem z urzędem parafialnym.

— A jak on się zapyta gdzie mieszkali jej pierwsi opiekunowie?

— Na tej samej ulicy! Tam się wtedy wszystkie domki popaliły.

Zadowolony powrócił Teobald do pokoju i uprzejmie podał gościowi adres urzędu parafialnego św. Pankracego.

Markiz zapisał adres, a Teobald ofiarował się bardzo grzecznie, że mu chce służyć jako przewodnik, lub przynajmniej jako tłumacz, gdyż po długiej niebytności sam nie wyznawał się w mieście rodzinnym.

Markiz po krótkim namyśle zgodził się na jego propozycję.

— Będzie mi bardzo przyjemnie, że mogę panu wyświadczyć tę przysługę, zwłaszcza, że w ten sposób dopomagam kochanej narzeczonej do odzyskania praw. Ida kocha mnie bardzo i nie przestanie kochać, gdy się dowie o swym szlachetnym pochodzeniu.

— Kocha, a jednak uciekła — odrzekł markiz zirytowany tymi przechwałkami.

— Łzy i ucieczka, to jedyna broń bezdomnych kobiet. Cóż mogła innego zrobić? — odrzekł Teobald zadowolony z siebie.

Nagle jednak uprzytomnił sobie, że Cyla Spiller, rówieśniczka Idy, może mu pokrzyżować plany, opowiadając markizowi prawdę o pochodzeniu Idy. Żeby temu zaradzić, przeprosił markiza na chwilę — mówiąc, że się idzie pożegnać z matką.

— Gdyby nie było tak wcześnie — odpowiedział markiz, powodując się grzecznością — pragnąłbym sam złożyć uszanowanie matce dobrodziejce.

— Mama będzie się bardzo cieszyć. Zaraz powiem mamie — rzekł Teobald i wyszedł do kuchni.

— Musi mama wziąć Cylę Spiller na kilka dni do domu — rzekł Teobald wchodząc.

— Zwariowałeś? A to na co? — odparła pani Hai oburzona.

— Bo ona zna dokładnie pochodzenie Idy i może markizowi wszystko wygadać. Starzy wiedzą także — dodał Teobald — ale oni są nieszkodliwi, bo nie umieją po francusku.

— Dobrze — zdecydowała się stara, przekonana tym argumentem — ale pod jakim pretekstem? Powiemy chyba, że ty ją chcesz malować, i że dlatego musi ona kilka dni spędzić u nas.

— Bardzo dobrze — odparł Teobald — prowadząc matkę do gościa i służąc za tłumacza w ich wzajemnej rozmowie.

Gdy się markiz pożegnał, poszedł z nim do dorożki i kazał się z nim zawieźć do kościoła świętego Pankracego.

Kościół był zamknięty, posłali więc dziewczynę z pobliskiego sklepu po kościelnego.

Zjawił się mały człowieczek, o krzywo osadzonej główce i otworzył im kościół.

Markiz przyglądał się budowli i widział, że jest prawie nowa, że może stać najwyżej 10 lat, i przeczuł, że Teobald go oszukuje.

Kazali sobie podać księgę kościelną. Markiz pochylił się nad nią, otworzył i przeczytał tytuł:

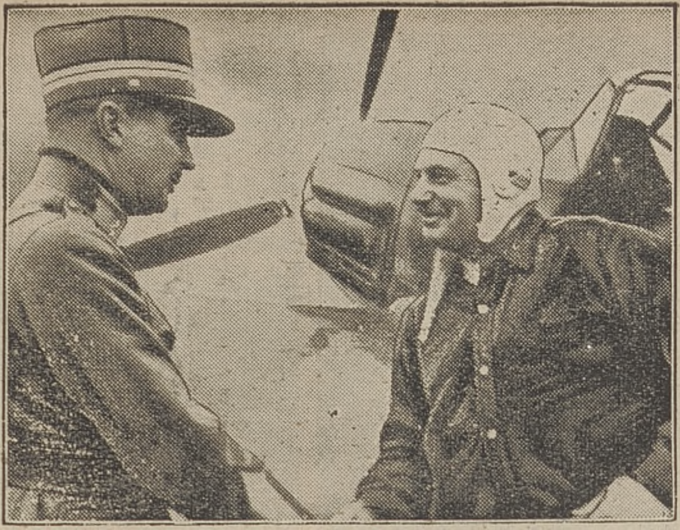
„Roku pańskiego 1872, kościół świętego Pankracego uroczyście poświęcono i odprawiono w nim pierwsze nabożeństwo".

Markiz nie rozumiał wprawdzie słów, ale przeczytał liczbę 1872.

— Niech pan poprosi kościelnego — zwrócił się do Teobalda — ażeby nam przyniósł starszą księgę, bo ta jest nowa.

— Czy nie byłby pan łaskaw przynieść nam starszej księgi? — zapytał Teobald kościelnego.

— Starszą? — zapytał dziadek — ba, żeby to można było. Kościół spalił się



W Zurychu odbyły się międzynarodowe zawody lotnicze. Na zdjęciu widzimy zwycięzcę przyjmującego pierwsze gratulacje.

nam ze wszystkim podczas wielkiego pożaru całej okolicy przed kilku laty. Dwa lata byliśmy bez kościoła.

Młody Hai przetłumaczył słowa te markizowi i dodał:

— Czy nie zrobimy lepiej, szukając samej Idy, zamiast jej pochodzenia? Ona uciekła z domu bez pieniędzy — i kto wie, czy teraz nie jest w największej nędzy.

Markiz jęknął. Pieniędzy miał poddostatkiem, a ta piękna istota, którą kochał tak bardzo, była w nędzy. Jakżeż chętnie byłby złożył cały majątek u jej stóp. Jak chętnie sam znosiłby głód i niedostatek, byleby tylko jej ulżyć!

— Ma pan zupełnie rację — odpowiedział — przede wszystkim ją samą musimy szukać. Ja ją będę szukał.

— Sam? — zapytał Teobald. — Daruj pan, panie markizie, że jestem tak śmiały i mówię bez ogródek. Chcę się panu przysłużyć, obawiam się, że pan sam nie zdziała nic w tym obcym mieście. Może panu posłużę na przewodnika?...

To był rozumnie wypowiedziany wynik poważnego rozmyślania Teobalda. Myślał on tak:

— Jeżeli oprowadzę markiza, będę wiedział o jego każdym kroku, po wtóre podróż nic mnie nie będzie kosztować, a po trzecie będę miał sposobność wywrzeć całkiem niespostrzeżenie wielki wpływ na niego.

Będzie on tańczyć nieświadomie tak, jak ja tylko zechcę.

— Panie Hai — odrzekł markiz, po krótkim namyśle — przyjmuję pańską propozycję i odwdzięczę się panu za to.

— Jeżeli się pan godzi, to wybierzmy się zaraz — odparł Teobald. Proszę mi tylko pozwolić spełnić jeszcze jeden obowiązek wobec mojej słodkiej Idy...

Tu na chwilę przerwał podstępny intrygant i czekał, aby go markiz zapytał, ale młody arystokrata wcale nie miał ochoty wdzierać się w tajemnice swego towarzysza, milczał więc, a Teobald mówił dalej, zawracając przytem obłudnie oczyma:

— Moim najgorętszym życzeniem jest zapewnić mej ubóstwianej narzeczonej przyszłość. Nie wiemy przecież nigdy, kiedy nadejdzie nasz koniec. Jestem wprawdzie młody i silny, ale kres życia nie jest mi znany. Mogę dożyć późnej starości, albo może też nagła śmierć sprzątnąć mnie w przeciągu kilku dni. Jak okropną byłaby w godzinę śmierci ta myśl, że dla mej ukochanej narzeczonej nic nie uczyniłem.

Westchnął głęboko, przestał na chwilę oddychać i patrzył badawczo swymi kociemi oczyma na młodego towarzysza.

— Czy chce pan zrobić testament? — zapytał markiz, który domyślił się już teraz o co Teobaldowi chodziło w całej tej długiej przemowie.

— Tak, panie markizie — odrzekł zagadnięty z miną człowieka zadowolonego, z wypełnionego obowiązku — zamyślam to uczynić. — Kamień spadnie mi z serca, jeżeli uczynię swoją narzeczoną główną spadkobierczynią moich dóbr, bo to wątłe stworzenie tak nie ma sił walczyć z biedą i troską, że chciałbym ją przynajmniej od materialnych trosk zabezpieczyć. Może mi pan zechce oddać tę przysługę, aby pójść ze mną jako świadek do notariusza.

— Z przyjemnością — odpowiedział markiz de Lorme.

I ku wielkiemu niezadowoleniu Teobalda, ani słowa więcej nie dodał.

Przebiegły syn pani Hai, chciał tylko w tym celu sporządzić testament na korzyść Idy, gdyż przypuszczał, że markiz de Lorme pójdzie za jego przykładem i również, jak on, zapisze Idzie cały swój majątek.

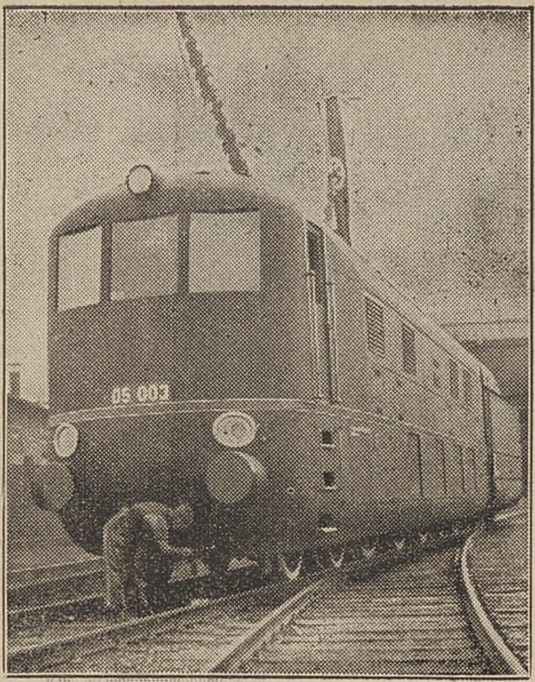
Gdyby młody Hai zrobił testament, byłoby to tylko czczą formą, gdyż nie posiadał jeszcze nic, jako że stary Hai miał cały majątek w swoich rękach, ale natomiast gdyby markiz de Lorme uczynił Idę swoją spadkobierczynią, to byłaby ona najbogatszą partią w całym kraju, ponieważ markiz był jedynym z największych właścicieli dóbr we Francji.

— Jeżeli mi się uda nakłonić markiza do tego, że uczyni Idę swą uniwersalną spadkobierczynią — pomyślał Teobald — to sprzątnę go prędko z tego świata.

Obaj młodzi panowie opuścili kościół i wsiedli znów do dorożki.

Teobald podał woźnicy adres notariusza i powóz ruszył w drogę.

Podczas gdy Teobald usiłował usidlić młodego markiza w swoje sieci, jego godna mama również nie próżnowała.



Na zdjęciu najnowszy typ parowozu Borsiga.

Napisała bowiem następujący list do pani Agaty Spillerowej:

Kochana, dobra Agato!

Zaledwie cię opuściłam, a już znowu piszę do ciebie i to nawet z prośbą. Jak dziwni są dzisiejsi panowie. Nie są nic a nic zuchami. Pomyśl sobie, moja dobra, kochana Agato, że mój Teobald, ten głupi chłopak, wyznał mi przed chwilą, że nie ma gorętszego życzenia, jak wymalować Cylę jako Wenus. Nie ma on jednak odwagi sam o to Cylę poprosić. Wiesz, że ja nie mam innego życzenia, jak tylko dogodzić Teobaldowi i dlatego proszę cię usilnie, pozwól córeczce swej, aby na kilka dni do nas zawitała. Co to będzie za niespodzianka dla Teobalda, jak się jego życzenie tak niespodzianie spełni. Nie można wiedzieć, co się z tego pobytu Cyli u nas rozwinie. Chciałabym bardzo, aby Teobald zapomniał o tej żebraczce Idzie i zwrócił się do bogatszej panny, np. do kochanej Cyli.

Zgóry dziękując ci bardzo za spełnienie mego życzenia, pozdrawiam cię serdecznie i pozostaję twoją życzliwą przyjaciółką.

Selma Hai.

Czuły ten liścik zaopatrzyła Haiowa adresem swej przyjaciółki i rozkazała Hani, aby go zaniosła do Spillerów.

Żebyś mi tylko nie robiła plotek z Dorą — upominała pani Hai swoją służącą — nie mów ani słowa więcej niż potrzeba, rozumiesz? Oddaj tylko list z ukłonem ode mnie i wracaj natychmiast do domu!

— Czy mam poczekać na odpowiedź? — zapytała nieśmiało Hania.

— Nie potrzeba — odparła pani aptekarzowa stanowczo.

Nie przypuszczała bowiem za możliwe, aby Cyla Spiller mogła nie przyjąć jej zaproszenia, tym bardziej, że ona niedwuznacznie dała do poznania, że życzy sobie bardziej Cylę za synową niż biedną Idę.

— Już oni się złapią na to — mruknęła Haiowa, zadowolona ze swej taktyki — i przyślą tę małpę Cylę z radością. Trzeba nagrzać dziś wieczorem w gościnnym pokoju, bo to rozpieszczone stworzenie nie zechce spać, gdy będzie zimno. Zaś odrobinę węgla na czym innym oszczędzę!

Z tym chwalebnym postanowieniem, zabrała się ta ultra wzorowa niewiasta znowu do swojej pracy gospodarskiej!

Tymczasem Hania pobiegła do mieszkania Spillerów i weszła na strome schody.

Na dzwonienie jej wyszła Dora, a Hania wręczyła jej list i rzekła:

— Pani każe się pięknie kłaniać i mówiła, że nie potrzebuję czekać na odpowiedź!

Potem uciekła szybko, bo wiedziała, że Dora była plotkarką, a jej największą przyjemnością było gdy mogła poróżnić ludzi swoimi intrygami.

Dora zbliżyła się cichym krokiem do swej pani i podała jej list, mówiąc:

— Służąca pani Hai przyniosła list. Co to za głupia dziewka, to trudno uwierzyć! Przybiegła zadyszana, jak gdyby się paliło i już jej nie ma.

— Pewnie się bała swojej pani — odparła pani Spiller — nie każda dziewczyna ma tak dobre państwo, jak ty, Doro! Ale trzeba zobaczyć, co też Selma pisze. Przynieś mi moje okulary, które leżą na toalecie w sypialni.

Gdy służąca przyniosła okulary, włożyła je pani Spiller na nos i zaczęła czytać.

— Patrzcie, patrzcie! — mruknęła dobra kobiecina, skończywszy czytanie listu — myszy łapie się słoniną. Selma pragnie mieć prędko wyhaftowany dywanik, i chce aby sobie Cyla dla niej oczy wydłubała. A to, że Teobald nie miał odwagi sam Cyli prosić o pozowanie mu, to jest wierutne kłamstwo.

Ten zuchwały smyk prosiłby jeszcze o coś zupełnie innego, gdyby go taki kaprys napadł. Nie, nie, kochana moja Selmo, z tego nic nie będzie! Nie mogłabym nawet obejść się bez Cyli, bo bez niej nie umiałabym się porozumieć z markizem.

Z listem w ręku poszła pani Spiller do pokoju swej córki.

— Przeczytaj Cylo! — rzekł do niej lakonicznie.

Cyla przeczytała szybko podany jej liścik, a potem rzuciła go o ziemię, podeptała nogami i wrzasnęła rozgniewana:

— Nawet mi się nie śni pójść do tego starego kocura! Ona chciała by zrobić ze mnie kopciuszka w miejsce Idy; ale do tego potrzeba dwóch, a ja nie jestem taka głupia, jak ona myśli! Nie pójdę do tej starej wiedźmy!

— Nie krzycz tak! — upominała ją pani Spiller — poco się Dora ma przysłuchiwać?

— Niech słyszy! — rzekła Cyla uparcie — dbam o nią tyle, co o przeszłoroczny śnieg!

Mimo tych zapewnień jednak przyciszyła głos i rzekła płaczliwym tonem:

— Nie może mama przecież serio żądać, abym tam chodziła?!

— Ani mi się nie śni — uspakajała pani Spiller wzburzoną córeczkę. — Trzeba wymyślić jakąś stosowną wymówkę, aby się Selma nie obraziła; ale do niej pójść ci nie pozwolę!

— Możeby jej napisać, że markizowi się pogorszyło, i że dlatego nie możesz się obejść bezemnie? — zapytała Cyla.

— Nie — mruknęła pani Spiller, kiwając głową — bo lekarz markiza, jest również lekarzem domowym Haiów i mógłby nas zdradzić. Trzeba coś innego wymyślić!

— No to napiszemy, że ja sobie skaleczyłam nogę — rzekła Cyla rezolutnie — i że bucika włożyć nie mogę!

— To byś w takim razie nie mogła pójść w niedzielę na tańcujący wieczorek — wtrąciła pani Spiller.

— Nie, z tego nie chcę rezygnować! — rzekła Cyla z uporem — wolę już obrazić starą Haiową na śmierć. Co za korzyści mamy w ogóle z obcowania jej z nami. Gdyby nas dziś jakie nieszczęście spotkało, to ręczę za to, że przestaliby nas znać.

— Są to bądź co bądź bogaci i poważni ludzie — rzekła pani Spiller — z którymi obcowanie jest poniekąt zaszczytne.

— Có z tego? — ofuknęła się Cyla, — ale wie mama co? Dora prosi tak silnie o kilkudniowy urlop, aby mogła pojechać do domu. Niech mama jej pozwoli, a będzie najlepsza wymówka. Skoro służącej nie ma, to się mama beze mnie obejść nie może!

— Prawda! — uradowała się pani Spiller — wilk będzie syty i owca cała!

Zaczem wystosowała do swej przyjaciółki bardzo uprzejmy list odmowny, który wysłała posługaczem, a równocześnie powiedziała Dorze, że może się zbierać i jechać na kilka dni do domu.

Dora nie posiadała się z radości.

Gdy pani Hai otrzymała list swej przyjaciółki, wściekała się ze złości.

— Jak się to żebractwo droży! — pieniła się — ale ja jej to popamiętam, tej Agacie!

Pani Hai bała się Teobalda i byłaby Spillerowej i jej córce oczy z chęcią wydrapała za tę odpowiedź.

Zaś Hania i Terenia odczuwały zły humor pani na swej skórze.

Pani Hai nie wiedziała co począć? Nie mogła przecież zmusić Cyli Spiller, aby na tych kilka dni do niej przyszła. Z niecierpliwością więc oczekiwała swego synalka, aby się jego poradzić. Byłaby może nawet zasięgnęła rady swego męża, ale ten wyszedł poczynić kroki do odszukania swej zbiegłej pupilki.

Po dość długim czasie wrócił Teobald do domu.

— Kluski są już twarde jak kamień, a pieczeń taka zasuszona jak mumia egipska! — Tymi słowy przyjęła go mama. — Każę ci zaraz podać obiad.

— Nie jestem głodny i nie będę jadł — bronił się Teobald, a potem dodał ochrypłym głosem:

Proszę mi spakować trochę bielizny i ubrania, bo za godzinę odjeżdżam z markizem!

— Dokąd? — zapytała strwożona.

Wzruszył ramionami.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

PRZYJDZIE...

Dobrej, Kochanej
Beli Cerkaskiej
— autorka.

I przyjdzie kiedyś taka chwila,
Że Twoja gwiazdka się rozżarzy,
Gdy cała staniesz w uśmiechach
Z łuną radości na twarzy.

I przyjdzie dzień ten wymarzony
Z naręczem słodkich niespodzianek —
Dzień, w snach dziewczęcych wyśniony,
Gdy cała w uśmiechach staniesz.

I przyjdzie kiedyś ta godzina,
W której powitasz swe marzenia,
Barwne jak skrzydła motyla.
Wierz — przyjdzie kiedyś taka chwila.

„Dzinka".

PROSZĘ O ADRESY!

O adresy, celem nadesłania listów, znajdujących się w redakcji — są proszeni: „Jasieńka", „Humorystka", „Czarowna Basia" z „Wesołej trójki z Bydgoszczy", „Zrównoważony", „Mewka z nad Warty", „Raula", „Stenia z Ina", „Biały Tulipan" i trzy przyjaciółki: „Lunia", „Izia i „Eluśka".

DZIWIĘ SIĘ...

„Gwiazdeczka". Piszesz mi, Droga „Gwiazdeczko", że chętnie nawiązałabyś szerszą korespondencję z „Krainiakami" i skarżysz się na to, że nie pamiętają o Tobie tak, jakbyś tego sobie życzyła. Dlatego też prosisz mnie o wstawiennictwo u moich licznych pociech. Chętnie to uczynię, choć dziwię się, że taka miła i inteligentna panienka nie zawojowała mi dotąd „Krainy". Przecież wiem, że przy swoim bajecznym humorze i niesłychanie młodzieńczej werwie — mogłabyś z łatwością tego dokonać.

Jednakże czynię o co mnie prosisz i niniejszym zwracam się do „Rodzinki" o zainteresowanie się serdeczne naszą „Gwiazdeczką".

Halo! „Gwiazdeczka" przesyła komunikaty: „Uśmiech dla „Niestrudzonego Wędrowca", „Polnej Różyczki", „Fleur'a".

Wyrażam uznanie za śliczne wierszyki p. Grzegorskiemu.

Miłe pozdrowienia dla „Przyćmionej Gwiazdeczki".

Chciałabym nawiązać korespondencję z „Łobuzem z Orchowa" i proszę go o liścik.

„Lwie", dlaczego milczysz?

Najserdeczniejsze pozdrowienia dla wszystkich członków „Rodzinki".

Pozdrowienia dla „Krainiaków" zasyłają również dwie jej przyjaciółki „Śnieżyczka" i „Reniutka".

PRZYJMUJĘ PANÓW

„Atos" i „Aramis". Przyjmuję Panów do „Rodzinki" i pozwalam Wam przedstawić się wszystkim jej członkom:

„Atos" jest czarny, jak przypieczony piernik gwiazdkowy, lecz nie tak gorzki — unika gwaru i lubi samotność.

Choć często życie rzuca mu kamienie pod nogi, on śmiało i wytrwale dąży do obranego celu.

Sam młody, lecz do młodych nie ma zaufania. Dlatego uprasza o liściki głównie starsze czytelniczki i czytelników „Moich Powieści" oraz „Krainy".

„Aramis" jest młodym blondynem, trochę marzycielem, miłośnikiem piękna i muzyki. Lubi szczerość i prostotę i tą bronią tylko wojuje.

W obliczu przeogromu i piękna przyrody lubi marzyć o bezinteresownej przyjaźni, szczerej i trwałej. Dlatego też prosi którąś z pań sympatyczek „Krainy" o liścik — odpowiedź więcej jak pewna".



„Smutna Ślązaczka" już nie będzie mogła powiedzieć: „Nikomu nie przynoszę i... sama nie doznaję szczęścia".

UCIESZY SIĘ PANI...

P. H. K. z Torunia. Serdecznie dziękuję Pani za pozdrowienia. Z przyjemnością zawiadamiam, że wierszyk Pani p. t. „Tęsknota" podoba mi się bardzo i przeznaczyłam go na okładkę „Moich Powieści".

Widzi więc Pani, że krytyka nie wypadła zbyt srogo — zasługa jest po Pani stronie, gdyż wierszyk jest bardzo miły i po małej poprawce będzie zupełnie dobry.

Rozwiązania zagadek przysyła Pani wprawdzie dobre, ale przeważnie po terminie. Proszę więc postarać się przysyłać je wcześniej a myśleć, że wylosuje Pani nagrodę. No, oczywiście będzie to zależało od szczęścia Pani, od łaskawości losu na rzecz naszej Kochanej autorki wdzięcznych wierszyków.

Słowa przeznaczone dla sympatyków „Krainki" przedrukowuję:

„Dziewczę z Kujaw" i „Bajka" — najmilsze pozdrowienia i dużo serdecznych słów od H. K. z Torunia".

POCZEKAM...

„Czarnulka z Grudziądza". Pamiętam o Pani, „Czarnulko", i chętnie przekażę jej komunikaty, ale zdaje mi się, że to będzie bezcelowe, jako, że wyjeżdża Pani wkrótce z Grudziądza. Kto wie, czy już nawet nie wyjechała, Mała Dziewczynko, więc poco mają listy przychodzić do redakcji, gdy przekazać ich Tobie w żaden sposób nie będę mogła.

Może raczej poczekam aż zainstalujesz się na stałe w Gdyni i prześlesz mi swój dokładny adres — wtedy zaapeluję serdecznie do „Krainiaków", aby chcieli pamiętać o Tobie i napisać Ci dużo serdecznych i dobrych listów, czego oni nie omieszkają na pewno uczynić.

A teraz pozdrowię ich tylko od Ciebie, wymieniając życzone pseudonimy.

Jeszcze jedno! O tej sprawie, którą mi przedstawiłaś — staraj się nie myśleć narazie. Uczucie prawdziwe i godne samo przyjdzie do Ciebie, wówczas może, gdy najmniej się będziesz spodziewać i w ogóle go nie szukać.

Raczej nie szukać, Mała „Czarnulko", bo często prowadzi do nieszczęścia — rozumiesz mnie chyba? Lepiej poczekaj spokojnie, obracając wszystkie zainteresowania w kierunku swej pracy, która winna dać Ci zadowolenie. Może właśnie ujęte twą uczciwą pracą przyjdzie do Ciebie to, za czym tęsknisz tak długo.

Życzę Ci tego z głębi serca — możesz mi wierzyć!

A teraz wymieniam wszystkich, którym zasyłasz z głębi serca płynące pozdrowienia, dając tym dowód, że zawsze o nich pamiętasz: „Blondynek w mundurku", „Wesoła Marietta", „Wilk Morski", „Wala z Bydgoszczy", „Bolek z Bydgoszczy", „Amerykanin", „Młody Zwycięzca", „Klara Bow", „Kazik", „Ikar II", „Stella Maris", „Blanka", „Orlicz", „Uśmiech Poranku", „Morowy Łobuz", „Samotny Blondyn" i „Edward VIII".

PRZESŁAŁAM...

„Gerold". Miło mi usłyszeć, że kontynuuje Pan wakacje. Nie ma Pan potrzeby być mi specjalnie wdzięcznym za list mój do Pana w „Krainie", gdyż z ogromną przyjemnością rozmawiam tak z Panem, jak i z resztą „Krainiaków".

List dosłałam. Na zakończenie pozdrawiam Pana jak najserdeczniej i zamieszczam jego komunikat:

„Zbijobrukowi Poznańskiemu" odwzajemniam się, śląc również pozdrowienia. Oczekuję od Pani listu.

Pozdrawiam mile całą „Krainę".

FOTOGRAFIĘ UMIEŚCIŁAM

„Smutna Ślązaczka". Nie trzeba tak tragizować życia, Droga Moja, bo to do niczego nie prowadzi, a energię odbiera zawsze i nieuchronnie. W szarość i czczość swojej egzystencji winna Pani wprowadzić element uśmiechu. Zdobyć się na uśmiech, choćby on miał być z początku słaby i lekko bolesny — zwolna zamieni się na szczery i jasny, aż wreszcie stanie się promienny i zawojuje świat.

Dziwisz się, „Smutna Ślązaczko"? Nie dziw się absolutnie, bo wiem, co mówię i pewna jestem dobrego wyniku. Tym pewniejsza, że widzę, iż jesteś wcale ładna i możesz zdobyć sobie człowieka, oczywiście, gdy do swych zalet zewnętrznych dołączysz wartościowe i naprawdę głębokie moralne — a wszystko to okrasisz szczerym i ujmującym uśmiechem.

Wtedy nie będzie goryczą zaprawionych słów: „Nikomu nie przynoszę i... sama nie doznaję szczęścia".

Zresztą sądzę, że słów tych już nie powtórzysz, gdyż wpadniesz w serdeczny i wartki nurt naszej rodzinnej fali. Ta fala potrafi koić i... uszczęśliwiać!

Nie pozwolicie nowej siostrzyczce smucić się i boleć niepotrzebnie — prawda kochani?!

Już dziś pozdrawiam ją w swoim i w Waszym imieniu — niech się raz pierwszy radośnie uśmiechnie, a zwolna ilość tych uśmiechów wzmoże się ogromnie.

Fotografię Twoją umieszczam równocześnie — niech stwierdzą „Krainiacy", że nie jesteś brzydka.

PROSZĘ CIĘ...

„Czarny Hajduczek". Jesteś, Proszę Cię, kochaną Dziewczynką, która zawsze pamięta o życzliwej sobie osobie — ona (ta osoba) jest Ci szczerze za to wdzięczna.

Fotografię chętnie Ci zwrócę, lecz wpierw proszę Cię o nadesłanie adresu, gdyż zapomniałam go sobie, a stwierdzam, że ufając pamięci — nie zanotowałam go. Sądzę, że nie pogniewasz się za tę nieumyślną zwłokę?!

Poza tym, trzymam Cię za słowo i oczekuję niecierpliwie nadesłania fotografii nadającej się do zamieszczenia w „Krainie".

Apel Twój do „Krainiaków" umieszczam w całości:

„Proszę Was, Drodzy „Krainiacy" — czy ma ktoś w całej naszej dużej „Rodzince", którąś z niżej wymienionych książek:

„Święta i jej błazen", „Faraon", „Dzwonnik z Notre-Dame", „Uroda Życia" i „Dziewczęta z Nowolipek".

Jeżeli macie i nie sprawi Wam to zbyt dużej fatygi — raczcie pożyczyć mi na krótko, będę Wam bardzo wdzięczna!

Dla wszystkich „Krainiaków", szczególnie z Poznania, dużo miłych pozdrowień. Zaś mojej „Piątce" mocne buziaki.

DZIĘKUJEMY!

„Złote Słoneczko“ i „Sydney“ — przysyłają nam serdeczne i bardzo, bardzo miłe pozdrowienia z Bydgoszczy.

Co więcej, „Złote Słoneczko“ donosi, że jest szczęśliwa i to dzięki „Krainie“. Tak! Także mnie to cieszy, jak nieskończenie ogromnie!

Życzę Ci, Droga Dziewczynko, aby to szczęście nie rozwiało się przy lada podmuchu nieprzyjaznego wiatru, a przeciwnie, by trwało zawsze i coraz się złociło, coraz stawało się jaśniejsze i głębsze.

Zaś sobie i „Krainiakom“ życzę niemniej silnie, abyś nie zapomniała, że żyjemy i nadal wodzimy się to z smutkiem, to radością, a zawsze pamiętamy o bliskich z „Krainki“. I zawsze przejmujemy się wspólnymi troskami i wspólnym dobrem, co spotyka nas wszystkich.

Dlatego też słusznym będzie, gdy nie porzucisz nas teraz, a owszem, tym silniej i zwarciej wszeregujesz się w nasze obszerne grono.

Pozdrawiamy Cię serdecznie i zasyłamy najlepsze życzenia i najradośniejsze uśmiechy.

W DRODZE...

„Maruta“. Ta Kochana Dziewczynka wybiera się wraz z pieszą pielgrzymką do Częstochowy, i z tej właśnie przyczyny, tak, apeluje do Was, Drodzy „Krainiacy“:

„Dnia 20 sierpnia wyruszam wraz z pieszą pielgrzymką do Częstochowy, do stóp Jasnogórskiej Pani, mej patronki.

Będziemy szli etapami z Łodzi przez Pabjanice Bełchałów, Radomsk do Częstochowy. Pragnę bardzo na szlaku naszej wędrówki poznać członków „Rodzinki“ i dlatego proszę, aby ci, którzy mieszkają między wymienionymi i w wymienionych wsiach i miasteczkach wyszli na nasze spotkanie.

Łatwo będzie Was poznać, gdy każda i każdy z „Krainiaków“ zechce trzymać w ręce egzemplarz „Moich Powieści“. Przedstawić, to ja już się sama postaram. Dla niejakiej orientacji zaznaczam, że jestem bardzo opalona i przez to podobna do cyganki.

Tak ogromnie chciałabym, aby i „Mała Konwalijka“ mogła pójść ze mną.

„Czarny Hajduczku“ bardzo Ci dziękuję za pozdrowienia i wszystkie gorąco odwzajemniam.

„Złoteńko“, czy ty nie jesteś z Widawy, jeżeli tak, to się znamy.

„Biała Uajali“, czy gniewasz się?

Wszystkim znajomym i nie członkom „Krainy“ serdeczne pozdrowienia!

RYSUNKI WCALE DOBRE

„Aneta III.“ Żebyś wiedziała, „Anetko“, że list Twój naprawdę był ogromnie miły. Jesteś takie dobre i niezwykle słodkie dziecko, które mimo przeciwności i trudów w życiu pozostaje zawsze niezepsute, zawsze równie pracowite i pogodne. Zwłaszcza pogodne! Przecież pogoda bije z wszystkich tak prostych a miłych zdań Twego listu i jedna Ci ogromną sympatię a nawet miłość. Bo ja na przykład już Cię kocham.

Kocham i za to, że pracujesz ciężko na trzy osoby i siebie, za to, że kochasz zarówno swoją, jak w ogóle pracę, że bezczynnie usiedzieć nie potrafisz i w chwilach wolnych samodzielnie projektujesz wzory do haftu i różne śliczne koronki. Co więcej, próbujesz nawet rysować główki bo... „rysunki interesują Cię bardzo“.

Pytasz, czy jest to pożyteczne spędzanie chwil wolnych od pracy... Dziecko Drogie! Gdyby wszyscy ludzie chcieli pójść w Twoje ślady, nie byłoby próżniaków i nierobów na świecie wcale!

Lecz nie to jest dla nas w tej chwili ważne — ważniejsze jest pytanie, czy masz się doskonalić w rysownictwie. Powiem ci szczerze, że wykazujesz dużo talentu, a wykonane przez Ciebie prace są bardzo plastyczne i mają dużo artystycznego wyrazu, jednakże doskonalenie się w tym kierunku wymagałoby długiego okresu szkolenia, a co za tym idzie, ogromnego nakładu pieniężnego. Zaś tym nie rozporządzasz, Moja Ty Droga Dziewczynko!

Przeto sądzę, że raczej obróć wszystkie swoje zdolności — i rysownicze także! — w kierunku Twej obecnej pracy, abyś doszła w niej do doskonałości. Ta praca daje zdolnym pracownicom duże korzyści, a może także stać się przyczynkiem do wyróżnienia, gdyż rzeczywistych mistrzyń Twojego zawodu jest jeszcze bardzo mało, zwłaszcza na wsiach.

Napisz mi, czy mam Ci zwrócić te rysunki, czy też zachować w albumie „Krainy“ na miłą pamiątkę.

Numery za dwa miesiące prześle Ci administracja naszego pisma, gdy przekażesz jej 2 zł z życzeniem nadesłania zbiorowych egzemplarzy na swój adres.

A teraz pozdrawiam Cię szczerze z gorącym życzeniem, abyś nie zapomniała o „Krainie“ i podtrzymała serdeczny kontakt z jej członkami.



„Malcńka Dzidzi“ — pogodna, najczęściej radosna dziewczynka, zadumała się tęsknie. Czegoś wypatruje w dali... a może wspomina...

WYJEŻDŻA NA WAKACJE...

„Eros“ wyjeżdża na wakacje, a jako naprawdę serdeczny i, że tak powiem, czynny członek „Rodzinki“ — zwraca się do niej (Rodzinki) z pożegnaniem, które niżej drukuję:

„Dziś pewnie na całych sześć tygodni piszę tylko ten krótki list. Mam w zapasie urlop i chcę się wybrać w świat i to... razem z kajakiem!

Wtedy nie będę miał czasu, ani nawet wiele ochoty pisać. Za to po powrocie opiszę wrażenia z włóczęgi jednej i drugiej.

A teraz, póki jeszcze jestem w Bydgoszczy — wołam do Was, o Piękne Panie!

„Psychoanalizo“ — czekam wieści. Dlaczego milczysz tak długo? Przyjm pozdrowienia i pisz!

„Pilotka K. M.“ — czy wyruszyłaś na podbój przestworzy, że znikłaś i słuch o Tobie zaginął! Pozdrawiam Cię!

„Kropelce“ radosne „pa“! Zaś wszystkim sympatykom najserdeczniejsze pozdrowienia.

POSŁUCHAJCIE...

„Miła Zapałeczka“, „Etiopka“, „Bajka“ i „Tu-Ryszard“ — dzieci „Krainy“, które poznały się nad morzem, przesyłają jak najmilsze pozdrowienia z nad uroczego Bałtyku „Ryśce D“, „Stelli - Maris“ oraz całej Kochanej „Rodzince“.

Osobne pozdrowienia od „Bajki“ dla „Elżuni z Torunia“, „Czarodziejki“, „Nimfy II“ „Jaśki“, „Carmen“, „Waldego“ oraz p. H. Karge, o której długo i dużo myślała, przejeżdżając przez Toruń.

WYBRAŁAM PSEUDONIM

„Janek z K. O. P-u“. Chętnie przyjmuję Pana do grona naszej „Rodzinki“, ciesząc się na to, że jeden więcej żołnierzyk przybędzie, aby nas rozweselić i poniekąd porwać swoją zdrową żołnierską werwą, tudzież udzielić coś ze swej życiowej tężyzny.

Pseudonim pozostawił Pan mnie do wyboru — wybrałam powyższy. Przypuszczam, że będzie Panu odpowiadał.

Jeżeli chodzi o Panią, do której zwrócił się Pan listownie, to muszę donieść Panu, że osóbka ta jest już bardzo, bardzo daleko! Wychodzi za mąż i ostatnio jest całkowicie zaabsorbowana tą sprawą.

Ma Pan przy tej okazji możność stwierdzić, że życie biegnie milowymi krokami naprzód i coraz się zmienia. W tym wypadku zaś zmienia się specjalnie na dobre.

A teraz zwracam się w imieniu Pana, miły „Janku z K. O. P-u“, do „Krainiaków“ i przede wszystkim do „Krainianek“ o żywe zainteresowanie się nim i zasypanie go liścikami. Sprawę abonamentu załatwiłam i proszę o każdej zmianie miejsca pobytu, a co za tym idzie — adresu, zawiadamiać administrację naszego pisma. Wówczas uniknie się omyłek w wysyłce numerów i będą one dochodzić do rąk Pana regularnie.

A teraz pozdrawiam Pana serdecznie i życzę dużo przyjemności w korespondencji.

Teczka Wujka Janusza

POMYŚL...

„Przedwiośnie“. Jestem ogromnie wzruszony! Mianowicie tym, że „Przedwiośnie“ chciałoby frunąć pod samo słońce i przynieść garść złotych promieni dla tych, których kocha. Och, Carissma, gdy tylko zechcesz — uda Ci się to...

Pomyśl, zdobyłaś obecnie maturę, ten czarodziejski klucz, który otwiera ludziom bramy wiedzy i wprowadza przez nie w świat pięknych czynów i ideałów. Gdy więc zechcesz i Tobie ten klucz otworzy bramę, za którą będziesz mogła ulatywać w słońce nauki, a później nieść jej promienie tym, którzy pragną wiedzy i na nią czekają. Pomyśl nad tą moją przenośnią, Droga Sympatyczko i zdobądź się na jakąś szlachetną inicjatywę. Bardzo proszę!

Serce Twoje jest tak ogromnie dobre, więc byłoby szkoda, gdyby wydało z siebie mało. Ono musi wydać dużo, tyle, aby nie pozostało w nim już nic z tęsknoty i niezaspokojonych pragnień. Gdy dasz dużo z siebie, wówczas i Twoja smutna miłość nabierze innego znaczenia. Będzie Cię cieszyło to, że choiaż mało wzięłaś z życia, to jednak dużo, dużo z siebie dałaś. I to właśnie będzie dla Ciebie wielką satysfakcją!

Żegnaj, Drogie „Przedwiośnie“ i pamiętaj nadal o swoim dobrym przyjacielu — Wujku Januszu.

Na zakończenie zamieszczam mały, pełen tkliwych uczuć dla kogoś nam nieznanego, wierszyk „Przedwiośnia“:

GDYBYM...

Gdybym mogła na oczy położyć mu ręce
I mówić mu o wiośnie, o bzach i o słońcu,
Myślę, żeby leciutko uśmiechnął się w końcu
I wieczorem o smutkach nie myślał już więcej...

SZKODA...

„Dzinka“. Wierszyki — śliczne! Naturalnie, czas pomyśleć o tomiku! Szkoda, aby takie ecnne „perełki“ miały być rozsypane, lepiej je nanizać na białe karty papieru i złączyć w jedną, imponującą całość. W powyższej sprawie wydawnictwo prześle Pani jeszcze w najbliższych dniach list z wyczerpującymi wiadomościami.

„Teczką“ i przesyłam Pani tym „ciepłym, ła-

Proszę Panią o dalszą współpracę z moją godnym głosem z radia“ — miłe pozdrowienia i wyrazy serdeczności.

CZY CI NIE ŻAL

Czy ci dziewczę nie żal kłosów,
Co pod sierpem giną?
Czy ci nie żal tych fal złotych,
Które płyną! płyną!

Czy ci nie żal łanu tego
Co zamarł w ukłonie,
Jakie będzie jutro jego,
Co zostanie po nim?

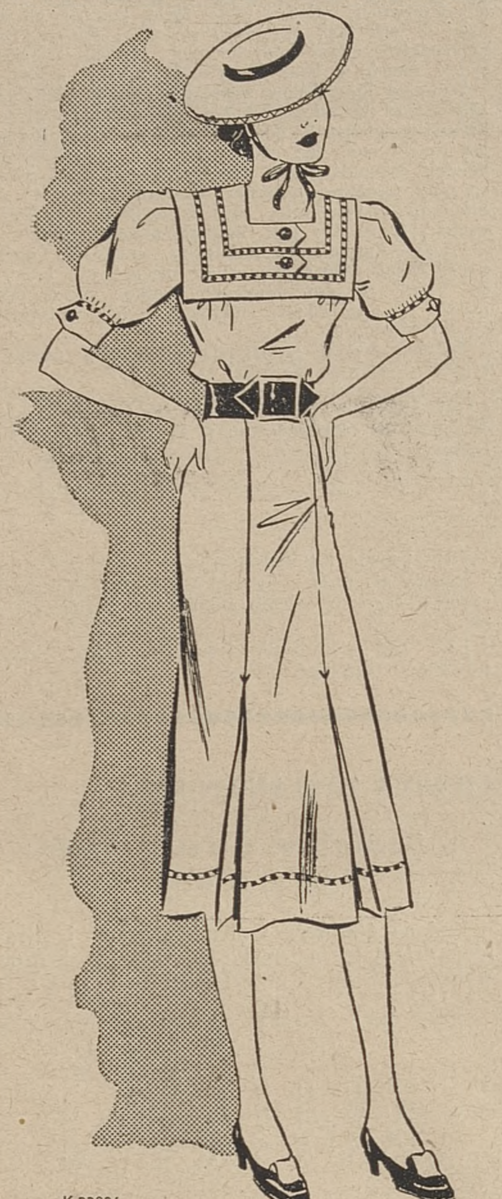
Ostrych ściernisk pola długie
Miedze odsłonięte —
Melancholią omotane
Bróździami porznięte.

Już nie będziesz chodzić miedzą
Biorąc kłosy w dłonie —
Patrz, jak łan się cicho żali,
Dreszcz przeleciał po nim.

Czy ci nie żal? O! nie żałuj!
Nie zginie w niebycie
Ten łan złoty — odejść musi,
By życiu dać życie.

„Dzinka“.

Raj kobiet



K 22806
84, 92, 100

K 22 806. Młodociana sukienka z płótna lnianego lub jedwabiu do prania — ślicznie przybrana mereżką. Potrzeba około 4 m. materiału szer. 80 cm. Krój ten (Beyera) nabyć można w naszej administracji w cenie 2 zł.

Wielkość i upadek Klary Bow

Zdaje się, że żadna z sławnych gwiazd filmowych nie przeżyła w przeciągu krótkiego stosunkowo czasu tyle wzlotów i upadków, co Klara Bow, uznaną niegdyś przez cały świat za „królową sex-appealu".

„A kto dzisiaj pamięta Klarę Bow?" zapytuuje dziennik paryski „Paris-Soir". „Kto mówi obecnie o tej pięknej, miedzianowłosej kobiecie?"

Pismo francuskie samo zaraz odpowiada na te pytania: „nikt".

Klara Bow przeżyła swoją sławę i teraz bardzo rzadko gazety zajmują się dawną chlubą.

A przecież warto donieść publiczności, że była królowa sex appealu została... królową kuchni.

Klara Bow okazała się doskonałą gosposią i nikt nie może współzawodniczyć z nią w przyrządzaniu smacznych i pikantnych potraw „arizońskich".

Kariera filmowa rudej piękności była dość krótka. Pierwszy debiut Klary przed obiektywem przyniósł jej gorzkie rozczarowanie. Późniejsza gwiazda dostała się do państwa dziesiątej muzy dzięki zwycięstwu w konkursie fotogeniczności. Chociaż zjawiła się na konkurs w skromnej, taniej perkalikowej sukience, nie tylko nie została zaćmiona przez wspaniale wystrojone konkurentki, lecz pobiła je wszystkie na głowę i otrzymała pierwszą nagrodę. Zgodnie z tradycją laureatce konkursu dano rolę, co prawda niewielką, w filmie. Ale kiedy uszczęśliwiona tym debiutem początkująca artystka ujrzała wreszcie na ekranie film, w którym grała, ogarnęła ją czarna rozpacz gdyż nie zobaczyła ani jednej sceny z tych, w których występowała. Co się stało? Po prostu ze względów technicznych wszystkie te sceny wycięto, co można było zrobić bez wielkiego uszczerbku dla filmu.

Ten zawód tak zmartwił i rozgniewał pannę Bow, że postanowiła wyrzec się marzeń o ekranie.

Ale niebawem zmieniła decyzję i skwapliwie skorzystała ze sposobności, kiedy nagle uśmiechnęło się jej na szczęście. Reżyser filmowy Lifton, któremu przypadkowo wpadły w ręce owe wycięte sceny, był tak zachwycony fotogenicznością niefortunnej debiutantki, że zaproponował jej rolę w filmie. Klara Bow, zapominając, o niedawnych przysięgach, przyjęła propozycję.

Od tego jednak do zabłyśnięcia na firmamencie kinowym jako gwiazda pierwszej wielkości było jeszcze daleko. Ale tę drogę Klara Bow przeszła już prędko i znowu sprawił to przypadek.

W r. 1924 znane towarzystwo filmowe „Paramount" znalazło się w kłopotliwym położeniu, ponieważ sławną wówczas Gloria Swanson odmówiła odnowienia kontraktu. „Paramount" zaczął gorączkowo szukać nowej gwiazdy. W tym czasie właśnie ukazał się film Liftona z Klarą Bow w roli głównej. Nowa artystka spodobała się dyrektorom „Paramountu".

Wkrótce cały świat znał Klarę Bow, która stała się sławną nie tylko jako znakomita aktorka, lecz również, — a może przede wszystkim — jako królowa sex appealu. Kierownicy „Paramountu" obmyślali dla niej odpowiednie role, tj. starali się pokazywać ją publiczności w strojach możliwie najmniej zasłaniających jej wdzięki, np. w kostiumach kąpielowych.

Niebawem zaczęły też ukazywać się w gazetach różne mniej lub więcej sensacyjne wiadomości o prywatnym życiu rudej gwiazdy. W pewnym okresie pisma amerykańskie i europejskie ciągle donosiły o romansach Klary Bow i jej zamiarach matrymonialnych. Ale żadna z tych zapowiedzi się nie sprawdziła.

Jednym z narzeczonych Klary był Gary Cooper, z którym występowała w pewnym filmie. Zdawało się, że tym razem dojdzie już do ślubu, albowiem miłość była wzajemna i gorąca. Nie wzruszyła jednak ojca Coopera.. Stary pan w żaden sposób nie chciał zgodzić się na to małżeństwo, a Gary Cooper nie zdobył się na stanowczą walkę z ojcem.

A wkrótce potem wybuchła głośna sprawa szantażowa, której bohaterką była zausznicka i sekretarka gwiazdy. Osóbka ta skradła Klarze jej bardzo poufną korespondencję i zażądała za zwrot listów 125 tys. dol., grożąc, że jeżeli nie otrzyma tych pieniędzy, ogłosi najdrastyczniejsze ustępy. Artystka nie dała się nastraszyć i zaskarżyła szantażystkę do sądu. Koniec był taki, że „przedsiębiorczą" sekretarkę skazano na rok więzienia.

Mimo to w pismach amerykańskich zaczęły się ukazywać „najcenniejsze urywki" z korespondencji miłosnej „królowej sex-appealu".

Niektóre z nich były tak wymowne, że różne ligi moralistek i moralistów wszczęły alarm, a prasa zaatakowała gwałtownie Klarę i domagała się, aby ta zepsuta kobieta nie ukazywała się nadal na ekranie.

„Strażnicy moralności" osiągnęli to, że pod wpływem tych napaści Klara Bow, rozbita moralnie, przestała występować i nawet nie dotrwała do końca w filmie, który już zaczęto nakręcać.

W tak ciężkim znajdowała się położeniu, kiedy los pokazał, że przecież jej sprzyja. Postawił na jej drodze Rexa Bella, młodego aktora filmowego. Bell nie tylko nie rzucił kamieniem na kobietę, od której wszyscy się odwrócili, lecz zakochawszy się w niej wyciągnął do niej pomocną rękę. Zawiózł ją do swojej farmy w Arizonie i tam wraz ze swoją matką starał się przywrócić znakomitej artystce zdrowie i równowagę moralną.

Pod wpływem tych zabiegów i szczerej miłości, którą otaczał ją Bell, Klara Bow powoli zapomniała o przykrych przejściach oraz pokochała Bella.

Po pewnym czasie wróciła do Hollywoodu, ale nie po to, aby znowu wystąpić w filmie, lecz by pokazać, że jest zdrowa, wesoła i zgoła nie złamana potępieniem, które na nią rzucono. Jednakże Bell skorzystał z pobytu Klary w Hollywoodzie i wystarał się dla niej o rolę w pewnym filmie.

Kiedy film był skończony, Klara Bow wyszła za Bella. Nowożeńcy udali się w podróż poślubną do Europy, a potem zamieszkali w Arizonie, z dala od gwaru i nerwowego życia wielkomiejskiego. Niebawem urodziło im się dziecko. Później gazety doniosły, że pani Bell ciężko zachorowała wskutek zatrucia nieświeżą potrawą. Była już o włos od śmierci ale udało się ją uratować. Od tego czasu nic się o niej nie słyszało. Teraz „Paris-Soir" pisze, że była królowa sex appealu przyjeżdża niekiedy do Hollywoodu, ale nie próbuje wrócić na ekran. Natomiast dba o to, aby nie stracić nowego tytułu — „królowej kuchni" i w tym celu wydaje przyjęcia na których popisuje się pikantnymi potrawami aryzońskimi. Sic transit...

Muzeum pani Wallis Windsor w Baltimore

Mało kto wie, że w Baltimore (Stany Zjednoczone), znajduje się muzeum pani Wallis Warfield obecnej księżnej Windsoru. Urządził je pewien pomysłowy Amerykanin, żeby zrobić interes na ciekawości swoich rodaków. Muzeum znajduje się w skromnym domku, w którym pani Warfield spędziła swoją młodość. Już obecnie muzeum cieszy się wielkim powodzeniem i jest zwiedzane przez licznych turystów.

W domu, w którym urządzono muzeum, mieszkali rodzice pani Warfield. W kilka miesięcy po wprowadzeniu się do tego domu ojciec pani Warfield umarł. Matka wyszła powtórnie zamąż i mieszkała w tym domku przy 212 East Biddle Street wspólnie z drugim mężem i jedyną swoją córką Wallis. Domek jest skromny, stary i zniszczony. Wchodzi się doń po pobiegalnych cementowych schodach. Z korytarza drzwi prowadzą do salonu, w którym umieszczono obecnie spis gości, zwiedzających muzeum. Ściany wyłożone są tapetami z czasów wiktoriańskich. Chodziło o odtworzenie oryginalnej atmosfery domu z ostatnich lat ubiegłego wieku.

Mebli jest mało. Ale podobno właściciel muzeum zamierza wyszukać i zakupić wszystkie meble, które kiedyś należały do rodziców pani Warfield. Zgłosił się niedawno dawny wielbiciel pani Warfield i ofiarował na sprzedaż dokument urzędowy, stwierdzający rozwód z jej pierwszym mężem. Dokument był autentyczny, ale właściciel żądał za niego 1.000 dolarów, na co nie chciano się zgodzić. Muzeum posiada natomiast świadectwo ślubu pani Warfield z jej pierwszym mężem porucznikiem marynarki Spencerem i nuty „Marsz triumfalny królowej Saby" Gounoda, który pani Warfield kazała grać w kościele jako marsz weselny. Wszystkie te pamiątki wraz z kilku książkami angielskimi, znajdują się w oszklonej szafce. Na ścianach wiszą powiększone portrety pani Warfield jako dziecka, samej lub z matką i kilka rysunków jakiegoś lokalnego artysty.

W dziecinnym opkoju Wallis (który był później jej salonikiem) znajduje się w suficie wielki otwór, przez który sączy się światło. Otwór ten pozwala obserwować z pierwszego piętra, co się dzieje w pokoju. Przez ten otwór matka dawała znać pani Wallis, że czas iść spać, gdy flirt na wiktoriańskiej kanapie saloniku przeciągał się zbyt długo. W jadalni znajduje się prawdziwy piec Warfieldów, na którym umieszczono świeży napis: „Windsor". Ściany wyłożone są tapetą „astronomiczną". Olbrzymie hemisfery, Ameryka i Europa, które łączą się w jednym punkcie. Z jednej strony Edward — z drugiej Wallis — w wieńcu laurowym. Dokoła gwiazdy, tworzące ich horoskop.

Na 1-szym piętrze znajduje się pokój, zawierający dzienniki z artykułami i zdjęciami, odnoszącymi się ze wszystkich wydarzeń, związanych z panią Walis Warfield i eks-królem Edwardem. Poza tym różne pisma ilustrowane z alegorycznymi rysunkami, które pojawiły się w chwili abdykacji Edwarda. W sąsiednim pokoju woskowe figurki, przedstawiające panią Simpson oddającą dworski ukłon królowej Marii i królowi Jerzemu V w dniu przyjęć na dworze królewskim w r. 1931. Edwarda w galowym mundurze, panią Simpson w sukni dworskiej, w końcu Edwarda przed mikrofonem, ogłaszającego światu o swojej abdykacji.

Następny pokój, to sala przodków. Dwa olbrzymie drzewa genealogiczne wymalowane na ścianie. To dwie linie Warfieldów, ojca i matki pani Wallis. Na ścianie wykaligrafowany ogromny napis stwierdzający, że Warfieldowie wywodzą się w prostej linii od Karola Wielkiego!

Osobną atrakcję stanowi łazienka z emaliową wanną, w której pani Wallis brała kąpiele. Łazienka ta stanowi ośrodek ciekawości turystów amerykańskich. — Niektóre amerykanki chciały koniecznie wykąpać się w wannie pani Simpson. Jedna z amerykanek dała się nawet sfotografować w wannie w otoczeniu kilku przyjaciół. Jest jeszcze sypialnia pani Simpson, dość banalna. Wstęp do niej zamyka gościom sznur. Ostatni pokój mieści olbrzymią makietkę pałacu królewskiego Fort Belvedere, o którym przewodnik opowiada kilka dramatycznych historii.

Podobno muzeum to otwarto za zezwoleniem pani Wallis-Warfield.

DOBRA GOSPODYNI

Wiśnie. Duże, czarne wiśnie (łutówki) oczyścić z korzonków i po wydrylowaniu wrzucić do gęstego syropu, zrobionego z 75 dkg cukru, licząc na pół kg owocu. Zagotować jeden raz, wyszumować i odstawić, a na drugi dzień smażyć na wolnym ogniu, szumując, przez 15—20 minut, aż się wiśnie w środku wypełnią syropem.

Wiśnie w occie. Obrane z korzonków hiszpanki lub łutówki należy zalać zimnym syropem, ugotowanym z ćwierć litra mocnego octu winnego, pół litra wody, kilku goździków, kawałka cynamonu i 40 dkg cukru, licząc tyle na każde kilo oczyszczonych wiśni. Polewać w ten sposób trzy razy, dając coraz gorętszy ulep, czwartego dnia na wrzący ulep wrzucić wiśnie, natychmiast odstawić, przełożyć do słoja, dodać na każde kilo owoców pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody.

Nalewka wiśniowa. 5 kg dojrzałych wiśni czarnych oczyścić z ogonków, umyć w zimnej wodzie, włożyć do dużej butelki szklanej, tak, aby dwie trzecie części jej napełnić, zalać 6 litrami czystego spirytusu, zakorkować i przez dwa tygodnie zostawić w spokoju. Potem zlać wódkę, do wiśni wsypać 2 kg cukru i znów nalać wódką, ale wystarczy 45 proc., niech postoi jak pierwsza. Po tym czasie obie wódki zmieszać, zlać w butelki, zakorkować i postawić w piwnicy.

Wino z wisien. Do wyrobu wina deserowego nadają się tylko wiśnie. Należy je dokładnie roz-

drobnić, połowę z pestkami, połowę zaś od pestek oddzielić. Inaczej wino będzie gorzkawe. Tę mieszaninę odstawiamy na kilka dni, następnie dobrze przeciskamy, dodajemy na 10 ltr rozpuszczonego wodą soku — 3 i pół kg cukru krystalicznego oraz 2 g salmiaku.

Naczynie do fermentacji należy wybrać starannie, gdyż od tego dużo zależy. Powietrze nie powinno z zewnątrz dochodzić, a równocześnie musimy umożliwić dopływ części kwasu węglowego. Dlatego też najlepiej nadają się szklane balony, zatkane korkiem, w który wchodzi rurka, odwrotnym końcem zanurzona w naczynie z wodą (do której dolewamy trochę gliceryny). Jeszcze lepszą jest t. zw. rurka fermentacyjna, którą można nabyć w handlu za parę groszy.

Ponieważ wewnątrz naczynia panuje ciśnienie większe niż nazewnątrz, z powodu wydzielania się kwasu węglowego, przeto ten kwas będzie mógł uchodzić nazewnątrz, przepchawszy się przez wodę, powietrze natomiast do naczynia się nie dostanie.

Naczynie nie powinno stać w zbyt ciepłym miejscu, by fermentacja nie zachodziła za gwałtownie, co poznajemy po mruczeniu gazu i zbyt nagłych wyładowaniach baniek.

Szyjka w naczyniu nie powinna być długa i wąska, podobnie jak i rurka, odprowadzająca gaz.

Korek zalejmy dokładnie parafiną, lakiem, lub mieszaniną talku i szkła wodnego. Szczelność korka ma znaczenie pierwszorzędne.

Przebieg fermentacji jest następujący: przy stosownej temperaturze, niezbyt wysokiej i niezbyt niskiej, roztwór zaczyna fermentować. Jeżeli naczynie jest zbyt pełne, szumowiny występują nazewnątrz i dla tego należy tylko jedną piątą część jego napełnić.

Okres gwałtownej fermentacji trwa tylko kilka tygodni, wtórna fermentacja przebiega już w spokojniejszej formie i trwa kilka miesięcy. Trzeci okres, to już zupełnie spokojny proces. Tylko kilka baniek w ciągu godziny świadczy o tym, że wino jeszcze nie jest zupełnie sfermentowane.

Po skończonej fermentacji drożdże i szumowiny opadają na dno naczynia, a wino zaczyna się klarować. Wtedy należy oddzielić je od osadu, gdyż pozostając dłuższy czas z osadem, może zgorzknieć. Najlepiej jest zaraz po dokonanej fermentacji przesączyć wino, nawet gdy ono jeszcze mętne. Naczynie dokładnie myjemy, i z powrotem do niego wlewamy wino. Jednakże musimy naczynie jak najdokładniej napełnić, by jak najmniej było powietrza nad powierzchnią cieczy. Korkujemy dokładnie. Jeżeli wino znowu zmętnieje, to po raz drugi tę czynność powtarzamy. Teraz należy wino pozostawić w spokoju i chłodzie aż do zupełnego wyklarowania.

Świat i życie

Armaty deszczowe strzelają wodą

Wszystkie wysiłki przedsiębrane w kierunku, aby człowiekowi pozwolić regulować stan pogody, zależnie od potrzeb gospodarstw rolnych — nie doprowadziły dotąd do poważniejszych wyników.

Kiedy powstaje deszcz? W powietrzu znajduje się zawsze pewna ilość pary wodnej. Gdy para ta, wznosząc się do góry ulega oziębieniu, wówczas siłą rzeczy skrapla się. Owe kropelki zawieszone w powietrzu, o ile są bardzo małe, nie spadają na ziemię, lecz gromadnie są unoszone przez wiatr, tworząc t. zw. chmury.

Ażeby z owych chmur mógł powstać deszcz, trzeba aby kropelki poczęły się zbijać w większe krople, dostatecznie już masywne na to, by mogły przełamać spór powietrza i spaść na ziemię. Do tego jednak potrzeba jakichś ciałek, któreby do siebie przyciągały owe malutkie kropelki i nagromadziły ich dokoła siebie tyle, ile potrzeba na mniejwięcej okazałą kroplę. Ciałka takie zowią się ośrodkami kondensacji. Rolę ośrodków kondensacji odgrywać mogą pyłki unoszące się w powietrzu oraz t. zw. ciała zjonizowane, tj. cząsteczki wyposażone w ładunek elektryczny.

Otóż były już przedsiębrane próby wywołania deszczu, zarówno przez wprowadzenie do wilgotnego powietrza pyłów, jak i też przez jonizowanie powietrza. W Ameryce wysyłano aeroplany ponad chmury, które rozsypywały tam całe worki „pudru". Ta „prowokacja" deszczu dawała podobno dodatnie rezultaty. Sztuczny deszcz wywołany w ten sposób był jednak bardzo krótkotrwały, tak, iż próby z aeroplanami miały raczej znaczenie eksperymentu tylko, niż znaczenie praktyczne. Próby zmierzające do zjonizowania powietrza nie wyszły nigdy poza granice laboratoriów.

Obecnie stosuje się w niektórych okolicach Niemiec przyrządy, które w duchu militarystycznej Rzeszy nazywają się „Regenkanonen" t. zn. „armaty deszczowe". Jest to pompa pędzona przy pomocy motoru elektrycznego, umieszczona na wózku. Z pompą tą połączona jest długa, przenośna, dająca się łatwo ustawiać na nóżkach rura, z której pod ciśnieniem wytryskują przez liczne otwory strumienie wody. Pompa czerpie wodę z rowu nawadniającego.

Na taki rodzaj sztucznego deszczu może sobie pozwolić tylko kraj, w którym melioracja gruntów stoi tak wysoko jak w Niemczech; kraj, na którego uprawnych polach pokopane są prawie wszędzie nawadniające rowy i który — prawie na całym swym obszarze pokryty jest siecią elektryczną. Rezultaty tego systemu są zdumiewające. Np. z 4 hektarów pastwiska w roku posiadającym normalne opady bez pomocy armaty deszczowej można było wyżywić 32 sztuki bydła. W toku następnym, w którym do nawadniania użyta była armata deszczowa, z tego samego obszaru wyżywiło się 56 sztuk.

JAN FELIKS PŁOCIENNIK.

Serce matki

(NOWELA).

Niedziela... Dzień był upalny... Nagle powstał wiatr. Zakołatał o szyby mieszkań, zatrząsł bramą, zagwizdał na rogu ulicy — a po tym jęknął i ucichł. Jeszcze parę sekund i lunął deszcz, wpędzając wszystkich do bram pobliskich domów i mieszkań.

Gdzieś niegdzieś tylko jakiś przechodzeń mknął po śliskim trotuarze, zasłonięty parasolem. Od czasu do czasu zabłysło i zagrzmiało, ku trwodze małych dzieci.

— Bozia się gniewa! — szeptały matki dzieciom, same czyniąc znak krzyża.

Feluś i Józio, którzy bawili się w chowanego na podwórzu, umknęli również do domu. Nie mieli oni już matki, gdyż umarła przed rokiem. Drzwi otworzyła im babunia.

Chłopcy kochali staruszkę, która pragnęła i w rzeczy samej zastąpiła im matkę.

— No i co, „ptaszyny"...? — zapytała staruszka, uśmiechając się dobrotliwie. — Jeśli chcecie posłuchać, to wam opowiem ładną historyjkę...

— Chcemy, babciu!! — równocześnie wykrzyknęli malcy.

— Ano to już wam opowiem, jeno siądźcie sobie.

Chłopcy rozsiedli się na podłodze u stóp staruszki, wpatrzeni w jej twarz — tak, jak gdyby chcieli każde wypowiedziane przez nią słowo wyryć sobie w pamięci na zawsze.

— Otóż opowiem wam dzisiaj o pewnej cnotliwej matce i wzorowych jej synach, którzy z uwagi na wielkie poświęcenie, przeszli do historii.

Staruszka westchnęła ciężko, kiedy Izraelici żyli pod panowaniem króla syryjskiego, Antyocha. Był to człowiek bardzo okrutny i wiele cierpień lud jego musiał znosić. Król ten ogłosił prawo, że wszyscy poddani muszą porzucić zwyczaje, odziedziczone po przodkach i czcić bożków jakich on jeno czcić każe, a ci, którzy ośmielą się sprzeciwiać, zostaną ukarani śmiercią.

Niektórzy z nich z bojaźni porzucili zakon, ale część wolała umrzeć, niż odstąpić od Boga.

Pewnego razu przyprowadzono przed króla siedmiu braci i matkę Machabę, którzy rozkazom króla zadość nie uczynili.

Namawiał ich król, aby porzucili wiarę ojców, a gdy stanowczo odmówili, kazał ich biczować. A kiedy najstarszy z braci odezwał się śmiało, niemal z ironią do króla, że gotowi są wszyscy raczej umrzeć, niźli prawo Boskie przestąpić, wówczas rozwścieczony król — kazał mu natychmiast uciąć język, z głowy zdjąć skórę, ręce i nogi poucinać, a wreszcie pokaleczonego w obecności braci i matki usmażyć.

Chłopcy wzdrygnęli się ze zgrozy — a babcia mówiła dalej.

Następnemu również zdjęli skórę z głowy i pytali się, czy porzuci wiarę. Lecz ten odrzekł również: „Nie odstąpię Boga — ani wiary mojej". I skonał w męczarniach.

Trzeci z braci, wzięty na katusze, sam podał język do ucięcia i śmiało wyciągnął ręce pod topór, mówiąc przed tym: „Z nieba to mam, od Boga — Stwórcy mego, a dla zakonu Bożego chętnie oddaję to wszystko, wiem bowiem, że w dzień Zmartwychwstania nowe życie z rąk Boga odzyskam".

Czwarty, gdy go męczono, rzekł: „Kto od ludzi na śmierć niewinnie skazany, ten od Boga na lepszy żywot wybrany będzie". Piąty, konając, powiedział: „Mając moc między ludźmi, czynisz — co chcesz, ale nie myśl, żeby naród nasz od Pana Boga był opuszczony; czekaj tylko, a ujrzysz i doznasz wielkiej mocy Jego". Szósty w mękach mówił: „Nie myl się władco i sobie nie przypisuj nędzy naszej; cierpimy, bo zgrzeszył naród, ale weźmiemy nagrodę, ty zaś nie umniemaj, byś uszedł kary, kiedyś się ważył przeciw Bogu walczyć.

Matka cierpiała za wszystkich synów, ból rozsadzał jej piersi, lecz tego nie okazała, nie rozpaczała, a przeciwnie, zachęcała do męstwa i wytrwałości w miłości Bożej, patrząc na męczeństwo synów swoich i śmierć ich okrutną.

A kiedy król zaczął namawiać najmłodszego syna do wyrzeczenia się Boga prawdziwego, obiecując mu wielkie wzamian bogactwa, a nawet adoptowanie na syna, matka wyśmiała tyrana i rzekła: „Synu mój, zlituj się nad matką twoją, która cię wychowała. Patrz na niebo, ziemię i ludzi; przypomnij sobie, że wszystko to Bóg stworzył z niczego. Przywrócić więc i tobie życie potrafił on będzie — jeśli mąk okrutnych się nie zlękniesz. Bądź uczestnikiem chwały twych braci, ażebym wszystkich synów moich w lepszym żywocie oglądać mogła".

Wówczas młodzieniec zawołał do katów Antyocha: „Dlaczego czekacie? Przecież nie słucham rozkazu królewskiego, gdyż Bóg mi milszy. Chcę również, jak bracia moi dać ciało i życie, a przecierpiawszy boleści, osiągnąć żywot wieczny. Prosić będą Stwórcę, aby narodowi naszemu co rychlej stał się miłościwym, a ty, królu, abyś w mękach i karaniach wyznaczył, że On jest Bogiem prawdziwym".

Wtedy Antyoch rozwścieczony śmiałością poddanego, kazał dłużej jeszcze go męczyć niż braci, a na końcu dopiero umęczono matkę, której dusza razem z duszyczkami mężnych synów przeniosła się do wieczności.

Babunia znowu wyciągnęła chusteczkę, zapłakała krótko a rzewnie i rzekła:

— Tak, kochane ptaszyny! I wy musicie być mężni i zwalczać wszelakie zło, by ducha czystego oddać Ojcu Niebieskiemu i aby otrzymać żywot wieczny.

— — — — — — — —

Józik i Feluś już dawno spali.

Nikogo nie było w pokoju dziecięcym. Na dworze również wszystko ucichło i panowała niezmącona cisza.

Jeno nad sierotkami, jako sen święty, unosiła się dusza matczyna.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Łamigłówka matematyczna

(Uł. L. H. Siejek).

Podane 40 litery zamienić cyframi i odtworzyć działanie matematyczne, którego końcowy wynik da kwotę: 111.674.016

```
                Z A M Ó W
                „M. P." W U.
                Z A M Ó W
          U M R P A W
        U W M U K Z
        K A H Z M
      U U U W P. M R U W
```

Bilety wizytowe

ul. Mira Tomaszewska.

NIKA AŁA - NIEZAPO
BINAJ.

DANUTA POLAK
MOSZ.

EGON CEPA
SERNIRS.

Na podstawie powyższych biletów odgadnąć trzy pseudonimy z „Krainy".

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do środy, 11 sierpnia br.

Rozwiązanie zadań z numeru 30 „Moich Powieści": Łamigłówka sylabowa: „Młodość rzadko myśli o starości, a starość o młodości bardzo często". Kwadrat magiczny: 1. Kolasa, 2. Flanka. 3. Kantak, 4. Oskard.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Fiałkowski Edmund — Poznań, Hodzierski Jan — Grudziądz, Gralewski Antoni — Katowice, Z. Kujawski — Poznań.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Kujawskiemu z Poznania i Fiałkowskiemu z Poznania.

ADAM NASIELSKI

15)

Tajemnica zamkniętego gabinetu

XVII.

Tylko logika

— Dawaj!...

— Osiem bitych stron, aż palce bolą. Dziwny człowiek, pogodził się zupełnie ze swoim losem i wyjaśnił cały przebieg czynu.. Spodziewałem się wybuchów, wykrętów, zwykłej, nędznej maskarady skruchy — bez przeświadczenia winy.

— Nic dziwnego. Inżynier Downar nie jest zwykłym przestępcą. Gdyby się urodził w czasach Borgiów lub Mazariniego, zrobiłby karierę i przeszedłby może do bardziej dokładnie opracowanych monografij historycznych. Przeprowadził całą technikę zbrodni niezwykle logicznie.

— A mnie wciąż jeszcze boli głowa od tego narkotyku.

— Jak cię właściwie schwytał?

— Zauważyłem inżyniera Downara, przebiegającego przez korytarz i chciałem cię zawiadomić. Ścisnął mi po prostu gardło palcami, gdy stałem przy telefonie i potem już nic nie wiem.

— Wysoce nieromantyczne. Ja idę do naczelnika — zmienił Żbik temat. Ty zaś, razem z bólem głowy, idź do szpitala Świętego Józefa na Hożej i pozdrów ode mnie Skurszczaka. To jest formalny rozkaz.

— Tak jest, panie inspektorze — roześmiał się Adam i pożegnał się. Bernard Żbik natomiast skierował się ku schodom w korytarzu, do gabinetu nadinspektora Wiśniewskiego, człowieka, w tej chwili przynajmniej, ogromnie ciekawego.

— Nareszcie!...

Wstał grzecznie i podał rękę swemu najzdolniejszemu oficerowi. Podsunął papierosy.

— Dziękuję. W tej chwili paliłem. Jak zdrowie pana naczelnika?...

— Odczep się pan z szablonem, bom ciekaw — jak nigdy. Przede wszystkim — jak pan wydostał się spod terroru mordercy?

Inspektor Żbik ocknął się z zamyślenia.

— Właśnie szukałem określenia, panie naczelniku, i pan mi je podsunął. Terror. Inżynier Edward Downar to klasyczny typ terrorysty, człowieka, który logikę własną stawia ponad prawem. Mam tu jego szczegółowe zeznanie.

— Ale w nim nie będzie odpowiedzi na moje pytanie.

— Było zwyczajnie. Tegoż dnia w południe, „zrugałem“ podkomisarza Skurskiego za jakieś drobne przewinienie.

— Skoro pan aż „rugał“ — to przewinienie musiało być poważne.

— Proszę o tym zapomnieć, naczelniku. Chcąc mu więc wynagrodzić burę, zleciłem aspirantowi Billewskiemu przekazać mu sprawę zaginięcia jakiegoś kupca żydowskiego. Chłopak — bo Skurski to jeszcze młodzian — wziął sobie tak do serca moje nagany, że na wściekłego uwziął się i odnalazł zaginionego, stwierdzając jednocześnie, że był to złośliwy bankrut i zameldowanie o zaginięciu było oczywiście fikcyjne. Ucieszony podkomisarz prosto z aresztu centralnego przyjechał do mnie, do Banku Południowego, aby pochwalić się tym, że nie jest tylko komisarzem dla tytułu. No i zrehabilitował się zupełnie.

— Mimo woli.

— Nie wchodźmy w nuance'e. Faktem jest, że nadejście Skurskiego, który mnie szukał po całym banku, ocaliło mi życie. Kula, która trafiła jego była przeznaczona dla mnie. Proszę...

— Zgoda — przerwał domyślny nadinspektor. — A teraz słucham pańskiego raportu.

Bernard Żbik uśmiechnął się i zaczął czytać:

— Nic cudownego naturalnie. Erazm Stokowski był w Egipcie i tam spotkał i poznał Downara, inżyniera — górnika. Obaj zaangażowali się w jakiś ryzykowny interes...

— No, i...

Detektyw uśmiechnął się po raz drugi i rzucił niedbale.

— Myślałem, że to będzie suchy raport, panie nadinspektorze.

— Ach, jaki wrażliwy. Proszę, niech się pan nie przejmuje moimi przerywaniami. Gdyby pan wiedział, jaki huk prasa zrobiła z tej sprawy!...

— Od tego jest prasa, żeby robić huk.

— Zatem...

— Brudna sprawa — ciągnął inspektor. — Stokowski i Downar dopuścili się ordynarnej grabieży w jednym ze staroegipskich grobowców, który Downar przypadkowo odkrył w czasie jednej z wycieczek. Był to grobowiec Ozyrysa. Stokowski, człowiek dążący do pieniędzy wszelkimi drogami finansował koszta ekspedycji: uzbrojenia, ładunków, wielbłądów i całego ekwipunku. Downar włożył do „przedsięwzięcia“ plan grobowca Ozyrysa. Po przybyciu na miejsce ograbili doszczętnie grobowiec, zabierając masę kosztowności, złota, kamieni, mozaiki i tym podobnych.

— A rząd Egiptu, co na to?

— Przypadkowo dobrze się pan domyśla. Po powrocie do Kairu Stokowski złożył doniesienie karne i Downar został aresztowany w nocy. W jego kieszeni znaleziono miniaturowy posążek Ozyrysa i kilka charakterystycznych kosztowności. Na mocy egipskich ustaw konserwatorskich, podjęto żmudne dochodzenia i śledztwo, a tymczasem Erazm Stokowski jakby nigdy nic wyjechał do Warszawy z... pieniędzmi. Te pieniądze i własną zawziętość i talent bogacenia się włożył w operacje giełdowe, a ponieważ miał węch i szczęście i nie był stuprocentowo uczciwy — trzy składniki konieczne dla błyskawicznej kariery — doszedł do stanowiska dyrektora Banku Południowego, którego był oczywiście zaledwie dziesięcioprocentowym udziałowcem. Wtedy to przeprowadził zmianę swego nazwiska na: Stokowski, przedtem brzmiało ono trochę inaczej. I wszystko byłoby dobrze, gdyby Edward Downar nie odnalazł przypadkiem w Polsce swego eks-wspólnika.

— Przypadkiem?

— Naturalnie. Inżynier po „odsiadce“ w Kairze wyruszył w świat z zalążkiem mordu w sercu i tylko przypadkiem poznał Stokowskiego w Warszawie. Wówczas rozpoczął się terror...

— Raczej: szantaż.

— Nie, tu nie było szantażu.

— I cóż bankier?

— Postąpił specyficznie uczciwie. Ofiarował Downarowi równą, uczciwą połowę kapitału, który zagrabili w grobowcu Ozyrysa.

— Sprytne.

— Oczywiście, w stosunku do majątku jakiego Stokowski dorobił się dzięki temu kapitałowi zakładowemu — suma obecna była drobnostką, choć też wyrażała się w pięciu cyfrach. Ale Downar nie był — powtarzam to — typem szantażysty. Awanturnik, obieżyświat, inżynier Downar — postanowił sterroryzować Stokowskiego, bez uciekania się do szantażu. Zagroził mu po prostu zastrzeleniem i zmusił go przede wszystkim do zaangażowania ekskompana na sekretarza osobistego. Pierwszą zastanawiającą mnie myślą był fakt, że Stokowski miał aż dwóch sekretarzy osobistych.

Nadinspektor zaproponował papierosa po raz drugi i detektyw tym razem przyjął.

— Downar zaczął wywierać wpływ na operacje bankowe swego „szefa", wtrącać się do wszystkiego i bruździć. Stokowskiemu zaczęło to ciążyć coraz bardziej i wtedy w mózgu bankiera zrodziła się myśl, która przyśpieszyła jego własny, ponury dramat.

Bernard Żbik umilkł na chwilę i przerzucił kilka stron w swoim notesie. Tylko on, i nikt inny, mógł ze swoich na pozór zwariowanych i na oko niezwiązanych logicznie uwag stworzyć żelazną, logiczną całość. Na przykład takie dwie uwagi: „Dwóch sekretarzy osobistych — dziwne" i Edward Downar ma śniadą skórę i dziwny akcent — sprawdzić"... Otrząsnął się z zadumy.

— Erazm Stokowski nie był głupi drań i szuja, ale mądry człowiek. Postanowił zawiadomić mnie o całej sprawie.

— Nie policję — tylko pana?

— Tak. W tym celu przysłał mi zaproszenie na bal-raut do Resursy Obywatelskiej i podpisał je nieczytelnie. Przybyłem, a myślałem, że zaprosiła mnie któraś ze znajomych.

— Powiedzmy: wielbicielek.

— Powiedzmy — zgodził się Żbik obojętnie. — Przybyłem i był oczywiście Stokowski, żywiołowo przerażony. Przyczyną strachu była obecność Downara, który jednak w jakiś sposób dowiedział się o zamiarze szefa (może śledził go stale) i nie odstępował Stokowskiego ani na krok. Inżynier miał przy sobie stale rewolwer — bardzo charakterystyczne — i bankier po prostu bał się okropnie, znając odwagę i szybkość decyzji przeciwnika. Zauważyłem przypadkiem strach w oczach Stokowskiego i zaczepiłem go — lecz on nie powiedział nic, bo za nami stał Edward Downar. Erazm Stokowski najzwyczajniej uciekł z balu przed końcem.

— Przecież Downar nie strzliłby do niego na balu — to byłoby równoznacznie z samobójstwem. A pański Downar nie był typem samobójcy.

— Dlaczego mój?

— Ponieważ tylko panu zawdzięczamy jego ujęcie. Proszę nie udawać skromnego.

— Rozkaz! Inżynier nie był typem samobójcy, lecz nie o to chodziło. Przede wszystkim wystarczy strach. A poza tym — co mógł uczynić Stokowski. Oskarżyć go? — to równało się uwięzieniu jego samego. Bankierowi nie chodziło też o moją interwencję, lecz o to, żeby Downar wiedział, że taka interwencja jest ewentualna. Częściowe zakomunikowanie mi tajemnicy miało na celu sparaliżowanie terroru. To jest subtelna różnica.

— Rozumiem.

— Nie wątpię, że pan rozumie. Pójdziemy dalej. Downar do...

— Czemu pan jest dziś taki cyniczny, inspektorze?

— Mierzi mnie to wszystko. Brudne, wstrętne i na wskroś patologiczne — ale także... normalne. Gdy Downar dowiedział się o zawiadomieniu mnie, od razu zainterpelował o to Stokowskiego. Proszę wziąć pod uwagę, że — akcentuję to — Erazm Stokowski nie był półgłówkiem, ani charakterem słabym; tacy nie robią pieniędzy. Postanowił — skoro już zdecydował się — sprawę przeprowadzić konsekwentnie i zaprosił mnie do siebie przez samego Downara. Kiedy przybyłem, opowiedział mi nowelę francuskiego anglika-literata o Ozyrysie — tylko w tym celu, aby zwrócić moją uwagę na tę nazwę. Więcej nie mógł powiedzieć, bo Downar siedział przez cały czas za nim z rewolwerem w kieszeni.

Inspektor uśmiechnął się i spojrzał na jedną z dziwacznych uwag w swoim notesie: „Downar ciągle trzymał rękę w kieszeni — dlaczego, skoro jest taki elegancki poza tym?"

— A figurka Ozyrysa?

— Przysłał mi ją również bankier.

— Cel?

— Jedyny o jakim wspomniałem już przedtem: Nie wyjawić tajemnicy, co byłoby równoznaczne z ruiną kariery Stokowskiego i zamortyzować terror Downara przez nasunięcie mu przeświadczenia, że ja wiem wszystko. Wcale mądre. Sprawa kradzieży w grobowcu Ozyrysa była w swoim czasie głośna w kryminalistyce. Na nieszczęście dla Stokowskiego, ja nie interesuję się kradzieżami, lecz tylko kryminologią zabójstw i po prostu nie słyszałem o grabieży grobowca.

— Jak Downar dokonał zbrodni?

— Bardzo zwyczajnie. O trzeciej wszedł do gabinetu Stokowskiego, zakłuł go i włożył słuchawkę telefoniczną do rąk nieboszczyka. Na swój czyn zdecydował się jeszcze poprzedniego dnia, na balu. Nie ustalił jednak dokładnej godziny, więc już rano zaprawił herbatę Jerzego Makarskiego narkotykiem. Na nieszczęście, Jerzy Makarski czuł tego dnia ból gardła, nie chciał wypić gorącej herbaty i potem w nawale pracy zapomniał o niej. Wobec tego Downar przełożył termin mordu na czas po opuszczeniu biura przez Makarskiego, czyli po godzinie drugiej. Po dokonaniu czynu Downar zajrzał do gabinetu Makarskiego, aby zabrać stamtąd herbatę z narkotykiem i zauważył śpiącego młodzieńca. Wtedy wpadł mu na myśl iście piekielnie sprytny plan, zresztą będący konsekwencją poprzedniego.

— Jak to konsekwencją?

— Downar dokonał zbrodni przy pomocy sztyletu ze zbioru broni Jerzego Makarskiego.

— Aby zwrócić na niego podejrzenie?

— Przede wszystkim, aby odwrócić od siebie podejrzenie. Wiedział — gdy o trzeciej zauważył śpiącego — że Makarski miał zwyczaj częstego picia wody, tym bardziej po zbudzeniu się ze snu narkotycznego, kiedy czujemy wzmożone pragnienie. Wsypał więc proszek trujący do karafki. W ten sposób stwarzał sobie ewentualność zrzucenia winy na człowieka, który nie będzie mógł odpierać zarzutów, bo nie będzie żył, kiedy napije się wody. Tym bardziej że...

— Klucz!

— O to chodziło. Włożył klucz do kieszeni Makarskiego, sam zaś wyszedł i zamknął drzwi kluczem, jaki sobie już dawno dorobił, jako nieproszony rewident Stokowskiego.

— A odciski palców Makarskiego na narzędziu zbrodni?

— To takie proste. Downar, który hodował plan zbrodni już dawno, skradł kiedyś Makars-

kiemu jeden z jego sztyletów z bogatego zbioru antyków w mieszkaniu młodzieńca, potem pokazał mu sztylet jako znaleziony. Makarski, ucieszony, wziął go do ręki i... sztylet znów zginął, ale już z utrwalonymi odciskami palców. Tego kindżału użył Downar jako narzędzia zbrodni. Tak, naczelniku, jeżeli psychologia temu zaprzecza — gotów jestem zawsze zakwestionować nawet dowód odcisków palców.

Dyplomatyczny nadinspektor Wiśniewski wolał nie podejmować dyskusji w tej sprawie i zmienił temat na główną magistralę.

— Downar musiał strasznie nienawidzić Jerzego Makarskiego.

— Z trzech powodów: a) Makarski jako detektyw-amator musiał zorientować się w niewyraźnej roli Downara. b) Każdy inteligentny morderca wie, że najlepszym sposobem zmylenia pogoni jest nadanie fałszywego kierunku śledztwu. I najważniejsze c) Inżynier Edward Downar kochał się w Janinie Stokowskiej, lub też raczej chciał się z nią żenić, aby w ten sposób stać się spadkobiercą człowieka, którego zamierzał w końcu zabić.

— Co na to Janina Stokowska? Musi być piękna?

— Więcej bogata niż sympatyczna. Ona nawet nie wiedziała o tym planie matrymonialnym. Kochała Makarskiego i nienawidziła ojczyma, który ożenił się z jej matką... aby zdobyć miłość własnej pasierbicy. Wstrętne i patologiczne. Na takim podłożu zawsze wyrasta ziarno zbrodni. Adwokat Drabicki miał rację.

— Co to znowu za uczony?

— Nie wiem czy uczony, w każdym razie wystarczająco mądry człowiek, który zwrócił moją uwagę na tę występną miłość. A więc... chcę już z tym skończyć. Po dokonaniu morderstwa zabójca udał się do swego gabinetu i czekał — na tym polegało jego genialne alibi — centralny trick. Ja przybyłem do banku i zameldowałem się przez woźnego. Wtedy Downar podnosi słuchawkę i w mojej obecności „rozmawia" z człowiekiem, którego przed godziną własnoręcznie zasztyletował. Poza tym „żegna się" i rozmawia ze mną. Ja zażądałem, aby połączył mnie z bankierem, „który pracuje i nie chce aby mu przeszkadzano". W tej chwili zadzwonił telefon na biurku. Cyniczny morderca wykorzystał ten nadprogramowy przypadek — (dzwonił ktoś z miasta) aby wzmocnić swoje alibi i... oznajmia mi, że słyszał krzyk zamordowanego w telefonie. Zbiegliśmy obaj i... reszta wiadoma. W ten sposób zbrodniarz sfabrykował sobie cudowne alibi — Inspektor Bernard Żbik był z nim w innym miejscu w chwili, gdy mordowano bankiera.

— Piekielnie. A gdyby pan nie nadszedł i gdyby potem telefon przypadkiem nie zadzwonił?

— Jeżelibym ja nie przyszedł, Downar byłby wezwał a) albo mnie: b) albo którąkolwiek inna wiarogodną osobę. Gdyby zaś telefon przypadkiem nie zadzwonił, to primo: wystarczała „rozmowa" ze Stokowskim, który już wtedy nie żył, secundo: Downar zadzwoniłby do Stokowskiego, wymienił jednostronnie kilka zdań i potem oznajmiłby o krzyku mordowanego w słuchawce. Poza tym proszę nie zapominać o obciążeniu już nie poszlakami, ale wprost dowodami zbrodni Jerzego Makarskiego. Nadto, różnica w czasie zabójstwa była zbyt mała i dlatego medycznie nieuchwytna. Dr. Dalczewski, który nadszedł po pół godzinie nie mógł na pewno stwierdzić, że cios zbrodniczy zadano przed pół godziną czy przed dziewięćdziesięcioma minutami.

Naczelnik Wiśniewski w końcu przecież nie wytrzymał.

— Mówi pan o tym tak obojętnie, jakby w całym dochodzeniu nie było ani krzty pańskiej zasługi.

— Bo też nie było. Popełniłem nawet błąd w obliczeniu psychologicznym i omal nie przypłaciłem go życiem nie tylko własnym, ale i aspiranta Kobylańskiego. Downar miał doskonały tłumik i mógł nas sprzątnąć jak nic.

— Więc, kto wykrył mordercę, jeżeli nie pan?

— Tak nie stawiam zagadnienia. Nie tylko mnie, żadnemu policjantowi nie wolno wierzyć w cuda. Bankiera zamordowano — to pewnik. Więc musiał w banku przebywać morderca. Alibi Downara, zresztą genialne, miało jednak wadę na moją korzyść — było nią to przeświadczenie, że zbrodniarz przebywa w gmachu. Kazałem zamknąć i obstawić budynek. Wewnątrz trzy osoby prócz nieboszczyka. 1) Franciszek Lipiński — woźny, tchórz, którego pierwszą odpowiedzią na moje pytanie były słowa: „Ale... to nie ja... nie ja". Nadto sam Downar stwierdził jego alibi 2) Jerzy Makarski — sam został otruty. Wtedy pozostał tylko inżynier Edward Downar. I wtedy zrewidowałem swoje wnioski i spostrzeżenia i stwierdziłem, że ja nie słyszałem jak Stokowski rozmawiał i jak potem wołał o pomoc — tylko że o tym powiedział mi Edward Downar. Wówczas zacząłem rozumieć.

— Do takiego rozumienia potrzebny jest pański mózg, inspektorze. Pan jest zbyt skromny!

— To nie wada... Ale zwrócenie podejrzenia na Downara nie równało się możności jego aresztowania. Ostatecznie, moje przeświadczenie nie jest jeszcze dowodem, a — jak już wspominałem — autopsja nie mogłaby udowodnić najważniejszego punktu zaczepnego, tego, że mordu dokonano o jedną godzinę wcześniej — co jedynie spowodowałoby aresztowanie Downara. Trzeba było doprowadzić mordercę do przyznania się i w konsekwencji do wyjaśnienia tricku — bo cudu nie brałem pod uwagę. Były: a) trup, b) zamknięty teren — musiał być, c) morderca. Zdecydowałem się na metodę prowokacji.

— Czego?... — nie dosłyszał zamyślony nagle naczelnik.

— Postanowiłem sprowokować przyznanie się do winy ze strony sprawcy. Edward Downar to typ terrorysty, działającego przy pomocy strachu. Zna pan zasadę homeopatów, naczelniku: Similia similibus. Wybrałem strach jako broń w kontrataku.

— W jaki sposób?

— Przede wszystkim zarzuciłem haczyk i posłałem Downara po zupełnie mi niepotrzebną linę, aby umożliwić mu podrzucenie ostrzeżenia o bombie, podpisanego „OZYRYS". To był niejako dowód dla mego wewnętrznego przekonania. Rybka połknęła przynętę i podrzuciła kapsułkę magnezji z listem zawierającym groźbę o bombie. Jeden z policjantów nadepnął na kapsułkę i znalazł ostrzeżenie „Ozyrysa". Wtedy, już świadomie, dałem poznać Downarowi, że wiem i zaprowadziłem jego i Kobylańskiego do gabinetu zbrodni. Resztę zna pan z raportu Kobylańskiego.

— Teraz rozumiem już wszystko.

— Jeszcze nie, panie naczelniku. Przeciwko Edwardowi Downarowi pozostał jasny, niedwuznaczny bodaj dowód — jest nim list szyfrowy napisany przez Erazma Stokowskiego, który przeczuwał swą śmierć — do Jerzego Makarskiego, który zaczynał się domyślać. W tym liście wskazana jest wyraźnie osoba mordercy.

— List szyfrowy! — zdziwił się naczelnik szczerze. — Nic o tym nie słyszałem, a przeglądałem przecież dokładnie akta.

— Oto on.

Wręczył nadinspektorowi arkusik papieru, który ten odczytał głośno:

„Warunki: Handel hurtowy, parytet Londyn, ładunki wagonowe, dostawa bieżąca za 100 skrzyń brutto. Notowanie z dnia 22 listopada 1936. Ewentualność doświadczeń waloryzacyjnych albo rozliczeń dekadowych daje okazję wglądu na aktualny rozwój. Monitować ostatnie rozrachunki dotyczące eksportu rynsztunku kontra Abisynia.

Po drugiej stronie widniał znany nam również napis ołówkowy: „Doręczyć Jerzemu Makarskiemu — w sprawie „Ozyrysa".

— Nic nie rozumiem. Gdzie tu jest szyfr, inspektorze?

— Erazm Stokowski przeczuwał zbrodnię i wiedział, że amator-detektyw, Jerzy Makarski, domyśla się, że z osobą Downara nie wszystko jest w porządku. Ponieważ jednak bał się wyraźnie zdradzić tajemnicę, na wypadek gdyby przeczucia jego okazały się płonne, sporządził ten sprytny szyfr, który bez faktu mordu byłby zwykłą notatką bankową, a po fakcie zbrodni zamienił się w akt oskarżenia, jaki zaprowadzi sprawcę zabójstwa na szubienicę.

— Przecież tu nic nie ma!

— Jest. — Bernard Żbik wziął leżący na biurku ołówek i nakreślił na świstku papieru:

Ewentualność
doświadczeń
waloryzacyjnych
albo
rozliczeń
dekadowych
daje
okazję
wglądu
na
aktualny
rozwój.
Monitować
ostatnie
rozliczenia
dotyczące
eksportu
rynsztunku
contra
Abisynia.

— No, a teraz panie naczelniku?

Twarz nadinspektora była wciąż zdumiona. Znał dobrze Bernarda Żbika i wiedział, że tu musi „coś" być. Złościło go nieco, że nie domyślał się, co wynikało ze słów.

— Napisał pan to samo, tylko w innym porządku. Psuje mi pan czas i papier.

Detektyw zaśmiał się z tego dowcipu.

Proszę odczytać tylko pierwsze litery słów, które w tym celu wypisałem jedno pod drugim. I co?

Naczelnik Wiśniewski przetarł zupełnie zbytecznie oczy, lecz musiał przyznać rację detektywowi. Wskazane przez Żbika litery tworzyły słowa:

E d w a r d d o w n a r. M o r d e r c a.

Wzrok nadinspektora wyrażał szczery podziw.

— Co za spryt!

— Mówiłem przedtem, że Erazm Stokowski był mądrym człowiekiem.

— Ależ, człowieku, dlaczego pan udaje naiwnego? Ja miałem na myśli pański spryt, inspektorze.

— Wolne żarty, naczelniku. Każde dziecko napisze taki szyfr.

— Paradne! — roześmiał się zwierzchnik wielkiego detektywa. — Daj mi pan pułk takich dzieci, a zawojuję nimi świat. To było trudne do napisania, jeszcze trudniejsze do odszyfrowania i najtrudniejsze do wyjaśnienia owego dualizmu.

Inspektor nie odpowiedział. Zawsze czuł się nieco zażenowany, gdy go chwalono w żywe oczy. Obserwował swego zwierzchnika i nagle swoim zwyczajem zapytał.

— Pan chce mi zadać jeszcze jedno pytanie, naczelniku?.

— Tak, moje dziecko. Rozumiem stronę techniczną, ale nie ogarnąłem jeszcze strony psychologicznej, kochany Psychologu. Dlaczego Edward Downar zabił. Po co mu to było potrzebne? Przecież mądry człowiek nie zabija bez powodu.

— Mądry człowiek w ogóle nie zabija. Każdy zabójca jest chory i umysłowo zdegenerowany. Zresztą, możemy zapytać samego Downara. Jest jeszcze u nas, w pokoju aresztantów.

Naczelnik Centrali Służby Śledczej nacisnął taster dzwonka i wydał krótki rozkaz starszemu posterunkowemu. Ten wrócił już po kilku minutach w towarzystwie kolegi z opuszczoną podpinką, prowadzącego zakutego w kajdanki mordercę.

— Jeszcze mało? Powiedziałem już przecież wszystko.

— Dlaczego pan zabił? — zapytał nadinspektor.

Edward Downar wykrzywił pogardliwie wargi.

— Zabiłem Erazma Stokowskiego, bo mu się należało. Był nikczemny, oszukał mnie. Ja powiedziałem mu o grobowcu Ozyrysa a on mnie zadenuncjował. A że nie mogłem się zwrócić po sprawiedliwość do sądów — więc sam ją sobie wymierzyłem.

— I pan mówi o uczciwości i sprawiedliwości?!

Bernard Żbik dał znak naczelnikowi Wiśniewskiemu i sam podszedł tuż do zbrodniarza.

— To była zazdrość, Downar, — stwierdził zimno i z przekonaniem. — Nie pomogą piękne słówka i wzniosłe frazesy: nikczemny, sprawiedliwość. Zwykła, ordynarna, zwyrodniała zazdrość — że inny drań ma, a pan, również drań — nie ma. Czy pan był uczciwy wobec Stokowskiego? Gdyby on ciebie nie nabrał — tybyś jego ocyganił. A że on był mądrzeiszy od ciebie — zalała cię wściekłość i zabiłeś. Po co te wykręty...

Morderca nie odpowiedział. Na dany znak, wyprowadzono go.

— Teraz zna pan również motyw psychologiczny, naczelniku. Zarówno przestępca, jak i ofiara — nie należeli do kategorii ludzi uczciwych — lecz Stokowski dźwignął się i chciał rozpocząć nowe życie — tego nie mógł mu darować były kompan.

Nadinspektor westchnął i wstał. Odprowadził Żbika do samych drzwi, gdzie zadał mu jeszcze pytanie natury odrębnej:

— Jakie pan miał uczucie, gdy morderca dwóch ludzi stał przed panem z ręką na cynglu.

— Niewesołe, naczelniku, proszę mi wierzyć. Życie jest głupie, jak tego dowodzi taka sprawa, i co do tego nie ma dyskusji — ale nawet nasza szumnie nazwana wegetacja ma swoje powaby, wartości.

— Szczególnie życie takiego człowieka, jak pan!!

— Słowo daję, jeżeli wszyscy będziecie mnie tak wychwalać, uwierzę w końcu, że naprawdę jestem taki mądry jak przypuszczam.

Jeszcze raz skinął głową naczelnikowi i wyszedł, uśmiechając się z własnego paradoksu.

KONIEC.

FLAVIA STENO 3)

Nauczycielka

— Podobał ci się mój głos, Lorenzo? — spytała uszczęśliwiona.

— Och, śpiewasz jak anioł! Dlaczego nigdy dotąd nie sprawiłaś mi tej radości?.

Nie wiedziałam co odpowiedzieć. A on mówił dalej:

— Wiesz? Nie chcę, żebyś śpiewała tak dla wszystkich — i powolnym szerokim ruchem swej jedynej zdrowej ręki, wskazywał na salę.

— Dlaczego Lorenzo?

— Dlatego... dlatego, że oni nie rozumieją cię tak, jak ja cię rozumiem, oni słyszą tylko głos.

— A ty Lorenzo?

— Ja słyszę twoją duszę — rzekł głosem cichym, jak oddech. Potem dodał:

— Jak twoja dusza musi płakać!...

Chciałam mu przerwać:

— Nie, Lorenzo, nic. Dlaczego tak myślisz? Ja jestem szczęśliwa...

— Szczęśliwa? ty? — wykrzyknął prawie z przestrachem. — O nie, to niemożliwe, żebyś ty była szczęśliwą!... Wówczas już nie rozumiałbym cię.

To ja już nie rozumiem tego dziwnego chłopca. On jest przecież bardzo dobry i czuję, że go bardzo lubię. Już dwa razy zapytał mnie, czy mi się podoba sir Jerzy Lionel. I wydaje się uszczęśliwiony, gdy mu mówię, że nie.

— Uważałaś, jak wszyscy patrzyli na ciebie przy stole? — zapytał mnie dziś niespodzianie.

Zarumieniłam się.

— Zdaje ci się — rzekłam, nie znajdując nic innego do powiedzenia.

— Tak. — rzekł. — A zwłaszcza sir Jerzy. To dlatego, że jesteś bardzo piękna! Powiedział to powoli i cichutko, patrząc gdzieś wysoko przed siebie.

Nie odpowiedziałam i oddaliłam się bardzo zmieszana.

—o—

Sir Jerzy Lionel do swojego przyjaciela,
Edwarda Barth.

Lynn-Castle 25 listopad.

Drogi przyjacielu!

Nie, jeziora twej zielonej Szkocji nie zobaczą mnie tego roku na swych brzegach, polującego na kurki wodne. A powód łatwo zrozumiesz. Mój kuzyn Sr. John ma już moją obietnicę na całą zimę — gdybym go teraz opuścił, wyglądałoby, że jestem zmęczony bardzo spokojnym życiem, jakie tu się prowadzi. Tymczasem rzecz ma się zupełnie inaczej i byłbym niesprawiedliwy, gdybym się skarżył. Ty, głupcze, dziwisz się, jakim sposobem nie znudziłem się jeszcze po miesiącu pustelniczego życia w tym Lynn-Castle, gdzie tego roku nadomiar nieszczęścia, nie widzi się ani jednej kobiety... Oto, jak się mylisz! Mamy tu jedną jedyną, ale tak piękną, wiesz Edwardzie, tak piękną, że żadna z elegantek londyńskich, modnych w towarzystwie w ostatnim sezonie, nie może się z nią równać! Cud! Wydaje się być ostatnim wcieleniem tej najczystszej formy greckiej, której typ zaginął teraz nie tylko w rasie, ale nawet w sztuce, Wysoka, zgrabna, wspaniale zbudowana, jednem słowem, nie będę próbował nawet opisywać ci jej. Jest piękna cała. Od stóp do głowy. Nie pytaj mnie, jakie ma włosy, lub oczy, lub karnację... Jest piękna! nie powiem ci nic innego. Tak piękna, że zawróciła mi w głowie i przykuwa mnie do tej pustelni. Zczarowała i uwiodła tak, iż nawet nie pamiętam, że gdzieindziej istnieją inne kobiety, i inny świat...

Ale nie powiedziałem ci jeszcze, kto jest ta jedyna i nie bez powodu pomyślisz, że zgłupiałem: Wyobraź sobie, że moja piękność jest biedną nauczycielką: Miss Jane! Guwernantka dzieci mojego kuzyna!... Niech cię to nie gorszy, nie mam żadnego zamiaru ożenić się z nią, ani nawet zakochać na serio, ale nie widzę, dlaczego miałbym pominąć sposobność zdobycia najpiękniejszej bezwątpienia kobiety we Włoszech! Bo musisz wiedzieć, że ta nieporównana dziewczyna jest włoszką, florentynką i nosi bardzo szlacheckie nazwisko: Giannina De Breda. Czysta krew rzymska, szesnaście pałek w najautentyczniejszym herbie. Zresztą, gdybyś ją tylko zobaczył, przekonałbyś się o tym. Jest tak majestatyczna w swej prostocie, że nieraz czuję się wobec niej zakłopotany i łatwiej przyszłoby mi nazwać ją „lady", niż poprostu „miss". Zresztą, nie ja jeden ją podziwiam — jest nas tu ośmiu mężczyzn i sądzę, że wszyscy jesteśmy w niej zakochani. Zaczynając od sir Herberta, który ją traktuje, jakby była jego panią, dalej lorda Dudley, który za każdym jej ruchem śledzi w zachwyceniu, skończywszy na Lawrence'ie, biednym, chorym chłopcu, Zresztą ten z nas wszystkich musi być najszczerzej zakochany. I dziwne jest, że ona przechodzi koło tych niemych uwielbień, zdając się ich nie spostrzegać, lub jakby ją nic one nie obchodziły, albo raczej, jakby je uważała za tak słuszne i naturalne, że się jej z prawa należą. Napewno zawsze musiała budzić ogólny podziw na swej drodze. Ja nie wiem, czy jej obojętność jest szczera, czy udana, czy istotnie nic jej nie obchodzą te nasze wyrazy podziwu, czy też udaje tak tylko, by swym chłodem podniecić ukryte pragnienia. Trudno to odgadnąć, więc zachowuję ostrożność. Wiesz, te podupadłe nauczycielki mają zawsze coś z awanturnic, a jeżeli przytem są piękne, prawie zawsze zamierzają do jakiegoś „zamachu stanu".

Wyznam ci również, że jestem trochę obrażony jej wyniosłymi minami i dlatego upieram się jeszcze bardziej w zamiarze zdobycia jej. Upewniam cię, że jeżeli mi się uda, będzie to piękne zwycięstwo. I odłożywszy na bok skromność, byłoby dziwne, gdyby sir Jerzy Lionel dostał mata. Przysięgam ci, że byłby to pierwszy w mym życiu, a nie mam wcale ochoty przegrywać.

Będę ci donosił o moich postępach, jeżeli zwyciężę, stanie się to prędko, gdyż moja piękna nie uznaje długiej drogi flirtu. Tymczasem żegnaj i poluj szczęśliwie!

Gdyby się ciebie pytano o mnie, powiedz, że urządzam podwójne polowanie.

Do zobaczenia, po zdobyciu wawrzynu!...

Twój
S. Jerzy Lionel.

2 grudzień 1896.

Och, ten nudny sezon nigdy się nie skończy!... Gniewam się na aurę, która nie chce się wypogodzić. Śnieg pada od tygodnia i mężczyźni są zmuszeni siedzieć w domu. Co to za męka dla mnie. To już nie tylko, jak w pierwszych dniach, nudny przymus podtrzymywania konwersacji, nawet wtedy, gdy wolałabym milczeć, teraz jest coś innego jeszcze: ciągle jestem niepokojona i przywoływana i z mojego do niedawna spokojnego życia nie zostało już nic.

Jestem nerwowa, poirytowana, niezadowolona i nawet tamci nie zdają się być bardziej zadowoleni ode mnie. Dlaczego? Nie wiem, nie mogę tego skonkretyzować, ale czuję dobrze, że już nie jest tak, jak przedtem. Moje biedne dzieci są zaniedbane, mamy teraz zaledwie kilka godzin lekcyj dziennie, pozatem nie widzę, prawie nigdy mojej małej Daisy przez całą resztę dnia. Miss Lawinia odbiera mi ją, ażeby wyrazić swoje niezadowolenie ze mnie.

A cóż ja robię, mój Boże, jeżeli również nie mam ani jednej chwili ciszy i spokoju? Rano po śniadaniu, sir Herbert, lord Dudley i Jerzy Lionel zapraszają mnie na balkon na rozmowę. Jakże mogę się uwolnić? I przez to dzieci są zaniedbane. Po tym, gdy tylko zobaczę mężczyzn, zajętych gazetami, oddalam się i idę na poszukiwanie Daisy i Lorenza. Daisy przebywa prawie zawsze z ciotką, która ustępuje niechętnie i z niewypowiedzianą godnością; Lorenza, biedaczka, nie trzeba nigdy szukać tak bardzo.

On zawsze „czuje", gdzie ja jestem i prosi Petra, by go zawiózł tam, gdzie się właśnie znajduję.

Korzystam z tej godziny spokoju, by odbyć lekcję, potem nie wychodzę z nursery aż do pory herbaty, ażeby mnie nie niepokojono.

Ale sir Jerzy, pod pretekstem, że przynosi słodycze Daisy, krąży około nursery i, gdy po hałasie sprawianym przez dziewczynkę pozna, że lekcja skończona, wchodzi, żartuje z dziećmi, udając, że się bawi z nimi i już mnie nie opuszcza.

Mówię „udaje", że się bawi, gdyż nie mogę się łudzić, że przychodzi dla mnie. Żeby... przepędzić czas flirtując, jak to jest zwyczajem angielskim. Ażeby mnie skompromitować, o ile by się to dało i umieścić również na liście swych biednych ofiar, które złożyły daninę jego piękności!

Sir Jerzy myli się. Zadużo rozczarowań przeszło przez mą duszę, abym mogła jeszcze wierzyć pochlebstwom i zapewnieniom miłosnym!...

Napewno ten zalotny lew salonowy nie obdarzy prawdziwym i głębokim uczuciem biednej nauczycilki, nieznanej i samotnej. Ten, kto mówił, że mnie kocha, mógł kłamać i zdradzić dlatego, że fortuna przestała nam się uśmiechać, a ja miałabym wierzyć temu zarozumialcowi, który nie wie, jak zabić czas?...

A tymczasem jego grzeczności sprawiają mi dużą przykrość. Nie mogę się go pozbyć z nursery. Lorenzo widzi dobrze, że nie odzywam się do niego nigdy, i że gdy jesteśmy sami, zachowuję ogromną rezerwę... ale inni? Sir Herbert i lord Dudley i miss Lawinia przede wszystkim? Oni nie znają mojej męki i mego gniewu... Boże, Boże, gdyby mnie mieli wziąć za kokietkę? A co mają myśleć, widząc go ciągle przy mnie? Gdy przechadzam się z dziećmi pod wielką werandą, on już jest obok, gdy siedzę w salonie, zajęta czytaniem jakiejś gazety Lorenzowi, on przysuwa sobie stołek i pyta, czy może słuchać. Lorenzo staje się siny z gniewu, ja drżę cała, ale w jaki sposób mogę się uwolnić od niego?

Gdyby przynajmniej porzucił te swoje nieme zaloty i zaryzykował jakieś zdanie, mogłabym wówczas poprosić go, by mię pozostawił w spokoju i w swobodzie, a tak nie mogę żądać wyjaśnienia, nie narażając się na śmieszność..

Mógłby mi odpowiedzieć, że lubi towarzystwo dzieci i że bynajmniej nie myśli o mnie. Żebym przynajmniej wiedziała, czy sir Herbert spostrzega moje niezadowolenie! Nic nie rozumiem. Widzę tylko, że smutnieje mu twarz, gdy sir Jerzy jest blisko mnie, zwłaszcza, gdy wieczorem zbliża się do fortepianu, by mi przewracać kartki nut.

Biedny sir Herbert, który jest tak dobry dla mnie! On nie powinien cierpieć!... Dotychczas nie zrobił żadnej aluzji, ale przy stole panuje pewne zakłopotanie. Mówi do mnie jeszcze, ale mniej często i bardzo łagodnie; można powiedzieć, że każde zdanie sprawia mu wysiłek! Lord Dudley patrzy na mnie podejrzliwie i niespokojnie! Nie mówię już o miss Lawinii! Ach, ona teraz straciła wszelki szacunek dla mnie; Boże, Boże, co za nieszczęśliwe położenie!

Jeden jest sprawiedliwy pomiędzy nimi wszystkimi, gdyż widzi i wie wszystko — Lorenzo. Biedny chłopiec cierpi bardzo, ale zdaje się kochać mnie jeszcze więcej. Nie mówimy nigdy ze sobą o sir Jerzym, on jednak od czasu do czasu pieści moją rękę i szepce:

— Droga, dobra Giannina!...

I żadna pociecha nie jest dla mnie tak słodka, jak ta milcząca i współczująca aprobata!...

. . . .

10 grudzień.

Ach, okropny dzień! Jak okrutne są dzieci w swej nieświadomości!

Dzisiaj był czas wspaniały, pogodnie ale bardzo zimno. Przy śniadaniu, sir Jerzy, patrząc ciągle na mnie, zaproponował:

— A gdybyśmy poszli na „skating"? Oglądałem dziś rano staw, ma bardzo mocną skorupę lodową, a Betsy, pokojówka Maddeln'ów, powiedziała mi, że jej panie wybrałyby się także dzisiaj.

Mała Daisy klasnęła w rączki z radości:

— O, tak, tak, prawda tatusiu? prawda miss Jane? Ja mam łyżwy jeszcze nowe: och, co za szczęście! pójdziemy, prawda?

Trzęsłam się z wściekłości i siedziałam zimna i milcząca, okazując wyraźnie mój mały entuzjazm dla tego rodzaju rozrywki.

Sir Herbert spojrzał na mnie pytająco:

— Niezbyt lubię „skating" — rzekłam.

Ale mała Daisy podniosła się od stołu i ku wielkiemu zgorszeniu miss Lawinii podeszła i rzuciła mi się na szyję.

— Och niedobra, niedobra mamusiu, która nie chcesz pozwolić rozerwać się twojej dziewczynce!... Pójdziesz z nami, powiedz! Tam będą także Essie, Dolly i Maly!... Powiedz, że tak, powiedz, że tak, droga, droga mamusiu!!

Lord Dudley uśmiechnął się do małego uparciucha, który nie wiedział, jak był okrutny w tej chwili.

Sir Herbert czekał mojej odpowiedzi. Lionel dołączył swoje nalegania do próśb dziewczynki, co wreszcie zirytowało Lorenza.

Nieszczęśliwy chłopiec, ogromnie nerwowy i wrażliwy, wychodząc ze swego spokoju i uprzejmości, której tak zawsze przestrzegał, wybuchnął ostrymi i rozpaczliwymi wyrzutami przeciw kapryśnej siostrzyczce:

— No, Daisy, dlaczego się tak upierasz! Wiesz przecież, że miss Jane nie bawiłoby to. A ty miałabyś serce bawić się, wiedząc, że sprawiasz przykrość swej nauczycielce i że zostawiasz swego biednego brata samego? Ach, gdybyś ty wiedziała, co to znaczy być zmuszonym siedzieć zawsze nieruchomo na krześle i musieć prosić innych, by się zlitowali i obrócili mnie.

Głos jego był pełen łkań i spazmów. Byłam jak na torturach; wyobrażałam sobie ogromny ból tego nieszczęśliwca, gdyby mnie widział oddalającą się w towarzystwie Daisy i sir Jerzego.

Nie miałam odwagi zadać mu tego bólu. Daisy również płakała na mym ramieniu, a miss Lawinia, urażona tą sceną, wyszła majestatycznie, trzaskając drzwiami.

Wówczas sir Herbert zainterweniował:

— Jak zatem będzie?

Lorenzo patrzył na mnie. Uśmiechnęłam się do niego.

— Czy czułbyś się na siłach towarzyszyć nam aż tam? — zapytałam go łagodnie.

Jego blada, chora twarz rozjaśniła się nagle gwałtowną radością. Ten biedak jest szczęśliwy tylko wtedy, gdy jest blisko mnie.

— O tak, miss Jane!

Daisy posłała pocałunek bratu.

— Zatem pójdziemy, prawda? I ty także rozerwiesz się, zobaczysz, Lorenzo. I zabierzemy także Margę z małą Katty, prawda, tatusiu? O, co za radość, co za radość!

I biła w dłonie z uciechy.

Sir Herbert, zadowolony z takiego rozwiązania, które pogodziło wszystkich, uśmiechnął się, dziękując mi.

Sir Jerzy natomiast patrzył z głuchą pogardą na biednego Lorenza, którego czujności miał nadzieję tego dnia uniknąć.

Wyszliśmy więc: niańka i ja za fotelem Lorenza, który rozmawiał ze mną, Daisy pod rękę z sir Jerzem, jak mała dama.

Staw był natłoczony ludźmi; usiadłam na drewnianej ławeczce, obok fotela Lorenza; Marga i Peter zostali z nami.

Jacy antypatyczni ludzie w tym zgromadzeniu. Zaczynała się dla mnie ta sama męka, co wówczas, gdy mieliśmy gości na herbacie. Panie Moddeln zobaczyły nas; powiedziały mnóstwo komplementów Daisy, której sir Jerzy zakładał łyżwy, ale do nas nie zbliżyły się; Lorenzo spostrzegł ten nietakt, gdyż mruknął: — Jak śmieszni są ci dorobkiewicze, ze swymi wyniosłymi minami!

Milczałam, trochę upokorzona.

Patrzyłam z roztargnieniem na cały ten tłum, który biegł, krzyżował się, potrącał, upadał na lód, rozpościerając się we wszystkich kierunkach, okazując, że go bardzo bawią te szalone biegi; słuchałam skrzypienia łyżew po skorupie lodowej, krótkich rozbrzmiewających śmiechów i harmonijnego gwaru stu głosów i urywanych okrzyków przestrachu, rzucanych niekiedy rozmyślnie, z wytworną kokieterią...

Ileż flirtów możnaby zauważyć wśród par biegnących po stawie! Ileż łyżew, odpinających się co chwila, ile nóżek, pozostających zbyt długo w rękach rycerza, zajętego przypinaniem cienkich srebrnych kling. I czułam w sercu niezmierny smutek, jakby lekką zazdrość względem tych istot szczęśliwych, które miały promień miłości w oczach i w sercu!

...Równocześnie jak smutny jednak był tam pejzaż!... Dokoła stawu gęste kępy olch wznosiły ku niebu szkielety swych ramion. I żadnego znaku życia na horyzoncie, ani domu, ani góry, ani ogrodu w tej rozpaczliwej pustce rozległej równiny!

Od czasu do czasu Lorenzo wskazywał mi Daisy, przebiegającą przed nami z szybkością strzały, tak milutką i wesołą w swoim kostiumiku z błękitnego sukna, obrzeżonego białym futerkiem, w małym bereciku z błękitnego aksamitu, spod którego wysuwały się złote kędziory, że przypominała średniowiecznego pazia o rafaelowskiej twarzyczce.

Przebiegając przed nami, poruszała maleńkim białym rękawkiem i krzyczała do nas czułe słowa. Sir Jerzy, który jej towarzyszył, pochylał się w bardzo wytwornym tour de grace, przypominającym mi maestrię linoskoczków i baletników, potem prostował swą figurę dumnym ruchem i znikał wśród par, niosąc gdzieindziej swói uśmiech i swe wytworne wdzięki.

Lorenzo i ja zamienialiśmy przyjazne spojrzenia, a ja chciałam mu powiedzieć:

— Jestem tutaj z tobą; lubię cię, gdyż jesteś dobry i inteligentny i nieszczęśliwy...

Jego oczy mówiły:

— On jest tutaj, ale ja także tu jestem i patrzę na ciebie, strzegę cię i osłaniam.

Po kilku obrotach jednak sir Jerzy wyszukał małego rycerza dla Daisy i przyszedł, by mnie zaprosić:

— Nie chce Pani zrobić jednego obrotu, miss Jane?

— Nie, dziękuję, sir Jerzy — odpowiedziałam mu uśmiechając się.

— Nawet dlatego tylko, żeby sobie ogrzać nogi?

— Nie, naprawdę; nawet nie zmarzłam w nogi, a zresztą, nie mam nawet łyżew.

— Ja je mam, miss Jane — rzekł on wówczas, pokazując mi parę małych łyżew, jakby zrobionych na miarę mej nogi.

Lorenzo zmarszczył czoło.

Uspokoiłam go, odmawiając ciągle.

— Nie, naprawdę, miss Jane? Jest pani niedobra — rzekł, uśmiechając się. — A ponieważ pani nie chce się ślizgać, ja także nie będę. Narzucam pani zatem swoje towarzystwo, aż do powrotu miss Daisy i zostanę tutaj z panią.

Mówiąc tak usiadł rzeczywiście obok mnie, zajmując miejsce niańki, która oddaliła się na chwilę z małą.

Drżałam z niecierpliwości, nade wszystko martwiły mnie niespokojne i smutne spojrzenia Lorenza, którego nie wiedziałam w jaki sposób uspokoić.

Jakgdyby mało było jeszcze mojej męki, widziałam obok panie, które zaczynały nas obserwować, robiąc uwagi.

Siedziałam jak na rozżarzonych węglach.

Lorenzo jednak nie panował już nad sobą. Nagle zawołał na mnie:

— Miss Jane — rzekł — sądzę, że odgadłem tę szaradę, którą mi pani zadała kiedyś. Proszę się zbliżyć, to pani powiem.

Zrozumiałam, że chciał mówić ze mną i zbliżyłam się.

— Nie mogę już dłużej — rzekł wówczas po włosku — i ty także cierpisz. Jeżeli sądzisz, że potrafiłabyś się uwolnić od niego, robiąc z nim jeden obrót po stawie, zrób to przez litość!

— Chcesz tego Lorenzo? zapytałam ze smutkiem, blednąc.

— Sądzę, że tak będzie lepiej, Giannino!

Usiadłam więc na swym miejscu i podjęłam rozmowę z sir Jerzym. Po chwili znów powrócił do swego tematu.

— Jeden obrót, miss Jane. Nie ma pani pojęcia, jak dzielnym rycerzem jestem.

Przyjęłam; według zwyczaju musiałam pozwolić na to, by mi przypiął łyżwy.

Były trochę zaduże.

Gdyśmy szli, rzekł do mnie:

— Jaką pani ma małą nóżkę. Zdradza ona pochodzenie pani. Sądziłem, że dobrze wybrałem łyżwy, ale trzeba je będzie wymienić.

Nie odpowiedziałam; serce biło mi tak silnie, tak silnie, jakby miało się rozbić, pomimo szczypiącego mrozu i powolnej przejażdżki. On opasał ramieniem mą kibić, by mnie podtrzymać i czułam, że ręka jego ściska moją silniej, aniżeli wymaga tego obowiązek prowadzącego. Ponadto widziałam spojrzenie Lorenza, utkwione w nas z trwożnym, okropnym niepokojem.

— Czy dobrze się pani czuje? — pytał mnie co chwila.

— Tak, dziękuję. — I nie umiałam nic innego powiedzieć, nie rozumiałam nic więcej.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 8 sierpnia 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Kościoła św. Krzyża w Warszawie 10.30 Koncert zespołu Light Opera Company (płyty) 11.05 Koncert symfoniczny, transmisja z Salzburga W przerwie o godz. 12.10 felieton z Poznania pt. „Salzburg widziany oczami wędrowca". 13.10 Koncert Polskiej Kapeli Ludowej F. Dzierżanowskiego — transmisja z Nałęczowa 14.40 Audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.00 Muzyka taneczna w wykonania Małej Orkiestry 16.20 Teatr Wyobraźni — „Dwóch nieśmiałych" 18.00 „Pół czarnej przy mikrofonie" — z kaw. George'a ze Lwowa 20.00 Utwory Wieniawskiego w wykonaniu znanych skrzypków (płyty) 21.00 „Wiolazija — czylki piąta pora roku" — Kukułka Wileńska 21.40 Reportaż tel. red. J. Piotrowskiego z trasy marszu Szl. Kadr. etap Jędrzejów — Kielce 22.00 Recital fortepianowy Leopolda Meunzera (ze Lwowa).

Poniedziałek, dnia 9 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Edward Grieg (płyty) 12.40 Od warsztatu do warsztatu — w wytwórni konserw owocowych — Audycja z Wilna 16.00 „Ktoby pomyślał?" — pogadanka dla dzieci starszych 16.15 Arie i pieśni wykona Iza Rola 16.45 „W 90 rocznicę zgonu Samuela Lunde" — odczyt z Poznania 17.00 Zespół Salonowy Leopolda Striksa 17.50 Ananas berżenicki — pogadanka 18.15 Kobiece zespoły wokalne i orkiestra Edith Lorand (płyty) 18.50 Ogólne wrażenie z marszu „Szlakiem Kadrówki" 19.00 Audycja strzelecka 20.00 Koncert rozrywkowy w wykonaniu Małej Orkiestry 21.45 Powieść mówiona 22.00 Koncert symfoniczny orkiestry wileńskiej.

Wtorek, dnia 10 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Koncert muzyki lekkiej orkiestry Rozgłośni Poznańskiej 16.00 „Podwieczorek pod lipą" — audycja dla dzieci 16.20 Paweł Graener Kwartet smyczkowy na temat szwedzkiej pieśni ludowej 16.45 Od Wejherowa do Pucka — felieton z Torunia 17.00 Koncert Orkiestry Filharmonii 18.15 Słynni dyrygenci w repertuarze walców Jana Straussa 19.00 „Idèe fixe" — skecz 19.15 Obrazki z Finlandii — muzyczny reportaż z płyt 20.00 Koncert rozrywkowy Małej Orkiestry 21.45 Powieść mówiona 22.00Koncert niewidomych artystów zorganizowany z okazji Międzynarodowego Kongresu Ociemniałych.

Środa, dnia 11 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Koncert orkiestry wojskowej 16.00 „Z mojego warsztatu" — szkic pogadanka 18.15 Orkiestra Pawła Godwina i Gitta Alpar (płyty) 18.50 Pogadanka aktualna 19.00 Słynni dyrygenci — 17 audycja (płyty) 20.00 Muzyka taneczna w wykonaniu Małej Orkiestry PR. W przerwie ok. godz. 20.20 „Pan Achilles Bożydar i jego dzieło" literacki Tadeusza Łopalewskiego 16.15 Trio Polskiego Radia 16.45 „Bitwa warszawska w 1920 r." — odczyt 17.00 Koncert solistów 17.50 Rower i motocykl — — skecz, z Krakowa 21.00 Koncert chopinowski 21.45 Powieść mówiona 22.00 Koncert rozrywkowy w wyk. ork. Tadeusza Seredyńskiego.

Czwartek, dnia 12 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Koncert w wykonaniu Łódzkiej Orkiestry Salonowej 16.00 „Przygody pana od przyrody" — pogadanka 16.15 Symfonie Beethovena — 5 audycja (płyty) 16.50 Jak gospodarują Angielki — gawęda 17.05 Koncert Orkiestry Filharmonii Warszawskiej 18.15 Kołysanki (płyty) 19.00 Teatr Wyobraźni — „Dramat w naturze" — słuchowisko 20.00 Koncert rozrywkowy z Wilna 21.45 Powieść mówiona 22.00 Recital śpiewaczy Anieli Szlemińskiej 22.30 Muzyka włoska (płyty).

Piątek, dnia 13 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Muzyka popularna w wyk. Ork. dętej Kol. Przysp. Wojsk. 16.15 Koncert Polskiej Kapeli Ludowej transm. z parku w Nałęczowie 16.45 Marmurowe miasto wśród jodłowych wiosek — reportaż ze Lwowa 17.00 Koncert solistów 17.50 W jaki sposób odkryto baterie — pogadanka 18.15 Pogadanka konkursowa 18.20 Imperio Argentina i orkiestry argentyńskie (płyty) 19.00 Muzyka angielska 20.00 „Jedziemy do wód" — audycja muzyczno-literacka 21.00 Muzyka taneczna 21.45 Powieść mówiona 22.00 Koncert solistów.

Sobota, dnia 14 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Koncert Orkiestry Wileńskiej 16.00 Teatr Wyobraźni dla dzieci: słuchowisko pt. „Lato leśnych ludzi" 16.30 „Sklep z zabawkami" — koncert z Krakowa 17.30 Audycja konkursowa 17.50 „Na Podolu biały kamień" — pogadanka 18.15 Georges Boulanger (płyty) 19.00 Arie i pieśni w wyk. Lucyny Szczepańskiej i J. Czaplickiego 20.00 Aud. dla Polaków za granicą „Udział Polonii zagranicznej w walkach o wolność" 21.05 „Dożynki" — suita pieśni i tańców ludowych M. Rudnickiego 21.40 Bawarskie pieśni ludowe 22.05 Regionalna transmisja z Trok (przez Wilno).

TROSKLIWOŚĆ

— Tu ci wszystko przygotowałam, czego potrzebujesz na jutrzejsze przyjęcie, mężusiu: frak, białą koszulę, motylek... i środek, pobudzający apetyt.

—o—

Nauczycielka. — Co wznosi, Maniu, ludzi nad zwierzęta?

Uczenica — Balon Zeppelina, proszę pani.

—o—

Gość do pana domu: — Ale też pański piesek jest niemożliwie tłusty.

Pan domu: — Ale dopiero od tego czasu, gdy moja żona sama zaczęła gotować.

FORTUNA KOŁEM SIĘ TOCZY

Dyrektor wytwornej restauracji warszawskiej, słynnej z wysokich cen, wchodzi do kuchni i zauważa nowego pracownika o twarzy bardzo smutnej, zajętego zmywaniem talerzy.

— Czemuś pan taki strapiony? — pyta dyrektor.

— Ha, to nic wesołego cały dzień zmywać.

— No, nie przejmuj się tym, mój przyjacielu. Bierz ze mnie przykład. Zacząłem karierę od zmywania naczyń, a teraz jestem dyrektorem.

— A ja zacząłem karierę od dyrektorstwa, teraz zaś zmywam talerze.

DOKŁADNY

Żółtko spadł z trzeciego piętra do piwnicy.

— Czy się pan bardzo potłukł, spadając?

— Spadając to nie. Ale jak już uderzyłem o ziemię, to tak!

BRYDŻYSTA

Lekarz chorób dziecięcych G. jest zamiłowanym karciarzem. Pewnego wieczora wezwano go wprost z brydża do dziewczynki chorej na dyfteryt.

Doktór bada przede wszystkim puls.

...sześć, siedem, osiem, dziewięć, walet, dama, król!

MĄDRA RADA

— Panie doktorze, widzi pan teraz, jak źle jest z nerwami męża. Co pan radzi?

— Powinni państwo natychmiast wyjechać.

— Dokąd?

— Gdziebądź, byle nie razem.

WYTŁUMACZYŁ

Do Urzędu Zdrowia zgłasza się jakiś osobnik i melduje się u referenta:

— Proszę pana, w aptece zamówiłem proszki od kaszlu, a aptekarz pomylił się i dał morfinę. Czy mogę mu wytoczyć sprawę?

— Owszem, ale nie warto.

— Jakto nie warto? — oburza się interesant.

— A moje życie nic nie warte?

— Zapewniam pana — rzekł łagodnie referent — przy dzisiejszym fałszowaniu lekarstw łatwiej można umrzeć od proszków od kaszlu, aniżeli od morfiny.

HUMOR ZAGRANICZNY

Pastor Hildebrand był niezbyt zadowolony ze swych parafian. Kościół był zawsze pusty. Tylko jeden stary rybak Matthiesen przychodził regularnie do kościoła.

Pewnego razu proboszcz Hildebrand odezwał się do starego rybaka:

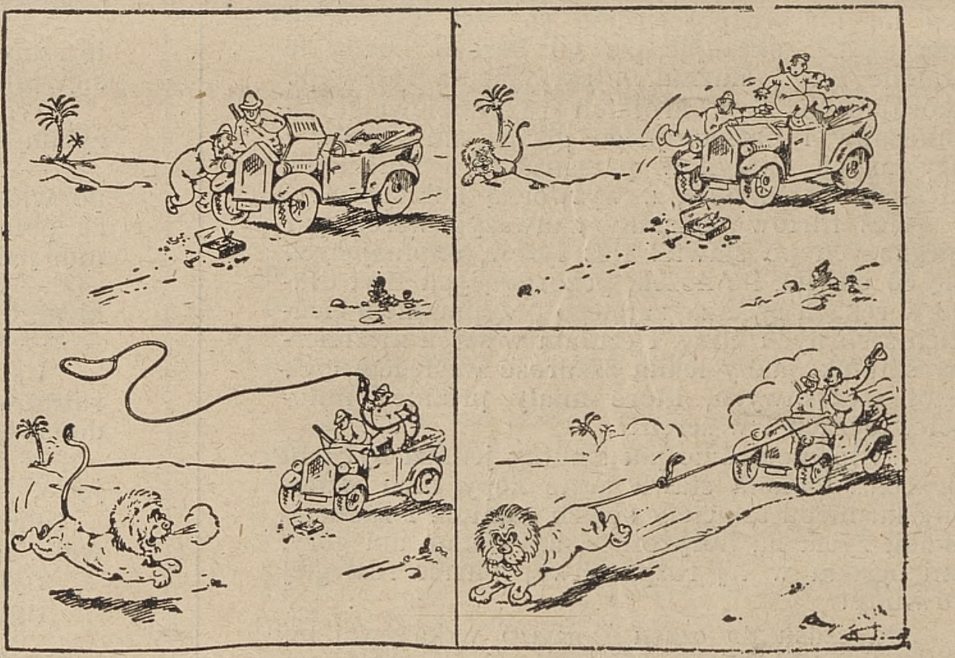
— Nie mogę zrozumieć, dlaczego tak mało ludzi przychodzi do kościoła?

— I ja również, ojcze. Już nieraz mówiłem: Przyjdźcie kiedyś do kościoła! Patrzcie na mnie, co niedziela chodzę do kościoła na kazanie ojca Hildebranda — i czy mi to w czymkolwiek zaszkodziło?

TERAZ INACZEJ

— Czy zna pan pannę Janinę?

— O, tak. nawet jako dzieci byliśmy w jednym wieku.



To się nazywa szczęście w nieszczęściu!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.